Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 28 lipca 1935 r. Nr. 30.



Twych ócz kryształy...

Gdy minie dzień, przyjdzie cicha noc —
zbudzi się marzeń świat cały...
Śród wieńca zjaw, których taka moc,
ujrzę twych ócz kryształy.

Jak dwa motyle na płatkach róż —
one mych snów ideały...
W serce me wrosły na zawsze już,
drogie twych ócz kryształy.

One mi słodzą życia mroki —
budzą tęsknotę i szały...
Wiodą za Tobą każdy mój krok,
dziwne twych ócz kryształy.

Dziś znów je ujrzę w głębokim śnie —
w ich blasku zatonę cały...
Będą do rana całować mnie,
cudne twych ócz kryształy.

„Biały Murzyn."

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

13)

— Harda była. Jeżem ją nazwaliśmy. Ani dostępu do niej. Niby miła i łatwa, a niech który z nas spojrzy poufalej, już zaszyła się w kolce chłodu i wyniosłości. Podejrzywaliśmy, że czekała na kogoś, że chciała mu być wierną.

— No i co? Nie doczekałam się — zaśmiała się dźwięcznie.

Wzrok jej mimowoli padł na pułkownika. Zaskoczyła ją jakby w pierwszej chwili jego bladość i zaciśnięte usta. Coś niby domysł zamigotało jej w źrenicach i znowu uśmiechnęła się, ale tym razem uśmiech ten nosił odcień triumfu.

Spostrzegł pułkownika i Olgierd. Nastąpiły powitania, przedstawienie się obopólne.

Ale pułkownika nie bawiła rozmowa wesoła i swobodna tych trojga, bo usunął się zaraz i stanął pod ścianą przy drzwiach. Blady był w dalszym ciągu i gryzł nerwowo wargi.

A w sali tańczono zawzięcie i ochoczo. Wreszcie zmęczyła się orkiestra i urwała prawie że wpół taktu.

Pułkownikowa po przez ramię tancerza ujrzała męża i zatroskała się jego wyglądem.

Śliczna jak zawsze, wdzięczna w swej niebieskiej gazowej sukience z rumieńcem podniecenia podeszła do męża.

— Jasiu co tobie? Czy cię głowa boli żeś taki blady?

Pogłaskał ją pieszczotliwie po ręce.

— Nic mi nie jest, męczy mnie zawsze, jak wiesz, atmosfera balowa.

Pani Gabrynia szła ku nim, rasowa, wytworna w swej czarnej, zahaftowanej srebrnemi paciorkami sukni.

— Pani pułkownikowa wygląda jak pierwiosnek — mówiła patrząc na nią ze szczerem upodobaniem.

Ale pułkownikowa przyjęła obojętnie ten komplement i popatrzywszy nieufnie to na panią Gabrynię to na męża, zwróciła się do tego ostatniego: — chce mi się pić, chodźmy do bufetu — i pociągnęła go do sali jadalnej.

Nie spodziewała się, że rotmistrzowa będzie na balu i widok jej obudził w niej zazdrosną podejrzliwość.

— Wiesz, dobry miał gust pułkownik — zauważył Olgierd, spoglądając za oddalającą się parą.

— Owszem ładna, tylko jest jeszcze bardzo młoda i głupiutka usposobieniem — odparła jakby z niechęcią. Urazil ją nietakt pułkownikowej i jej niczem nieuzasadniona zazdrość.

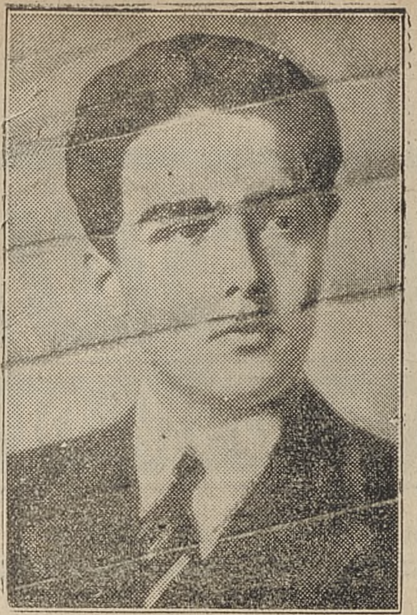
* * *

Pułkownikowi Daszkowskiemu zabłysły oczy na widok pani Gabryni. Ani obejrzała się jak stanął przed nią rozradowany w całym blasku swej urody.

Zmarszczyła lekko brwi, tak widoczna była jego radość.

— Czy mogę prosić panią do tańca. Musi go oddalić od siebie za wszelką cenę.

Pokiwała głową odmownie.



Austrjacka rada Ministrów zgodziła się na powrót wygnanych w 1918 r. członków rodziny Habsburgów. Arcyksiążę Otton (powyżej), roszczący sobie prawo do tronu, oświadczył w Brukseli, iż powróci do Wiednia dopiero wtedy, gdy wszystkie stronnictwa zgodzą się na jego powrót.

— Żałuję, ale nie mogę tańczyć z panem pułkownikiem.

Pobladł, oczy mu błysnęły gniewem.

— Dlaczego? — wyszeptał zdławionym głosem.

— Dowiedziałam się, że ludzie zrobili mnie już pańską kochanką. Zaszczyt ten napewno niejedna przyjęłaby z radością — dla mnie jest on obrazą.

— Byłam i jestem uczciwą kobietą i nie chcę stracić prawa do tego miana, jak niechcę, by na męża mego patrzono z politowaniem i nazywano go rogaczem.

— Tyle jest innych kobiet, które z radością wtuliłyby się w pana pułkownika objęcia.

Wskazała ruchem głowy na młodą, trochę pretensjonalnie ubraną wdowę po radcy magistrackim.

— Ot ta naprzykład...

— Pani nie rozumie słowa kochać! — Roześmiała się: — Ależ panie pułkowniku, to pan profanuje to słowo. — Co ma wspólnego pana zadurzenie się we mnie z miłością? Tyle co i poprzednie pana erotyczne przygody.

— Zbiłbym panią — szepnął cicho.

— I zepsułbym sobie karjerę, dla której poświęciłem właśnie tę miłość, o której pan tak często deklamuje coraz to innej kobiecie...

Odwrócił się gniewnie od niej i siadł do bridża.

— — — — — — — — —

Rotmistrza Gozdawę porwał urok tańca. Zostawił żonę własnemu losowi, a sam nie wychodził prawie z sali.

Pułkownikowa również oddała się całą zabawie, nie zwracając uwagi na męża, który nie mając nic lepszego do roboty, wodził oczami za tańczącymi. Znudził mu się jednak ten sposób przepędzania czasu. Ziewnął, wzruszył ramionami i wyszedł z sali.

— Gdzie pani Gabrynia — przyszło mu nagle na myśl. Niema jej w sali... nie wyjechała jeszcze chyba, bo Olgierd tańczy.

Odnalazł ją, gdy stała w gabinecik z porucznikiem od strzelców Jaworskim i rotmistrzem Mieszczankowskim. Rozmawiali wszyscy troje z ożywieniem na temat Indji. Porucznik marzył, by tam jechać. Składał wytrwale na ten cel pieniądze do P.K.O.

Pani Gabrynia śmiała się z niego i jego marzeń.

— Myśli pani, że nie pojadę. Mam już odłożone na tę podróż 400,— złotych, to za 10 lat będę miał uskładaną sumę do 6 tysięcy, a to wystarczy już na podróż tam i napowrót. I pojadę! Zobaczy pani.

Odpowiedziała mu rozbawiona:

— Niech sobie pan porucznik wyobrazi, że o mało włos nie pojechałam do Indji już podczas wojny w 1917 roku. Miałam koleżankę hinduskę, która mnie na tę podróż bardzo namawiała. Była córką Anglika, gubernatora Simly i księżniczki hinduskiej Anarkalli. Kształciła się w Szwajcarji, uczęszczała razem ze mną na wykłady. Rodzice chcieli, by wracała, ale bali się dla niej podróży samotnej. Kazali jej poszukać sobie towarzyszki podróży. Błagała mnie, bym z nią jechała. Koszta mej podróży w obydwie strony miał ponieść jej ojciec.

Wybierała się do Cawnpur. Droga nasza miała prowadzić przez Włochy do Brandisi, a stamtąd okrętem do Bombaju, skąd było jeszcze 3 tysiące kilometrów jazdy koleją do siedziby gubernatora.

I nie pojechałam, choć miałam wielką ochotę.

— No, wie pani rotmistrzowa! — oburzył się porucznik szczerze zgorszony — żeby tak na mnie...

— Coś ważnego musiało panią zatrzymać — wtrącił rotmistrz Mieszczankowski.

— Chimera, panie, nic więcej...

Porucznik Jaworski zauważył pułkownika, który stał od paru chwil przy drzwiach, przysłuchując się rozmowie.

— Czy pan pułkownik słyszał coś podobnego — zwrócił się do przybyłego, nie mogąc ochłonąć jeszcze z wrażenia, że ktoś, mając możność zwiedzić Indje, wyrzekł się dobrowolnie tej przyjemności, odrzucił nadarzającą się okazję.

— Pani Gozdawina opowiadała nam, że w czasie wojny trafiała jej się możność wyjazdu do Indji darmo, na cudzy koszt i nie skorzystała z okazji, choć miała podobno wielką ochotę na tę podróż.

Na widok pułkownika poczerwieniała gwałtownie; widać było, że ujawnienie tej rozmowy przed pułkownikiem zrobiło jej przykrość.

— Czasami okoliczności są silniejsze od naszych pragnień i zamiarów — odpowiedział zagadnięty.

— Kiedy pani twierdzi, że zatrzymała ją tylko chimera — ciągnął uparcie porucznik.

Ale pani Gabrynia już opanowała chwilowe rozdrażnienie.

— To tak zawsze z kobietą bywa — drażniła się żartobliwie — dla chimery poświęca nieraz los i życie i chociaż w 99 procentach żałuje tego, to jednak, gdyby znów znalazła się w tych samych

okolicznościach, prawdopodobnie postąpiłaby również tak samo.

Pułkownik miał zmarszczkę między brwiami i zmęczony, jakby zgaszony wyraz twarzy. Widać było, że rozmowa ta drażniła go.

A tymczasem porucznik Jaworski jakby się uwziął.

— Nie mogę się z tem pogodzić. Odrzucić bezpłatną, cudowną podróż do Indji dla chimery! Napewno pani wówczas kochała się i żal jej było odjeżdżać od tego kogoś, lub on nie puścił.

Spoważniała, jakieś smutne cienie przyćmiły na chwilę jej jasne, roześmiane źrenice.

— Zgadł pan, było i coś i ktoś co mnie zatrzymało.

— No, to trzeba było tak mówić odrazu — zgodził się porucznik i nie oponował więcej. I on już coś niecoś wiedział o sile miłości i pętach, jakie nakłada na wolę i duszę.

Ale pani Gabrynia jakby pożałowała swego wyznania. Uśmiechnęła się drażniąco do porucznika.

— Mylnie się pan domyśla.

Owym kimś i czemś były węże hinduskie. Od małego dziecka panicznie bałam się węży. Niech sobie pan wyobrazi mnie, z moim lękiem przed gadami, w kraju, gdzie węże plączą się, prawie że dosłownie, pod nogami.

Dostałabym tam rozstroju nerwowego, drżąc ciągle przed możliwością natknięcia się na kobrę, lub jakiej innej jadowitej żmiji, żyjąc pod strachem śmierci, a nie jest to przyjemna śmierć. Podobno zaraz po ukąszeniu czuje się przemijający ból w miejscu ukąszenia, potem następuje znieczulenie całego ciała; język staje kołkiem, z ust płynie ślina, człowiek przestaje oddychać, a mimo to żyje, bo serce w nim bije, słyszy wszystko, a ruszyć się nie może. Umiera, zamarły, a przytomny.

Brr... nie dla mnie taka przyjemność.

— Nie każdy w Indjach umiera od ukąszenia węża — burknął porucznik zawiedziony.

— Ale podobno dwa miljony ich ginie tam corocznie, dzięki tym gadom — uzupełniła.

Niech się pan pocieszy, że ja sama wiem, że to jest umnie tylko idjosynkrazja, ale nie mogę jej zgnieść w sobie, wykorzenić.

Skończył się taniec, zaczął się ruch w hallu, gabinetach i przy bufecie.

Pułkownikowa z panią Protopow weszły do gabinetu i zbliżyły się do rozmawiających.

Pułkownik spojrzał z czułością na żonę i podsunął jej fotel.

— Może napijesz się czego?

Przytaknęła śliczną główką, śląc mu pieszczotliwe spojrzenie.

— Panie poruczniku — zwrócił się do porucznika Jaworskiego — niech pan każe podać butelkę wina, ale mrożonego.

— Rozkaz! — młody i zręczny porucznik sprężystym krokiem wyszedł z pokoju.

— Pani nie tańczy — spytała panią Gabrynię pułkownikowa.

— Bardzo mało — odpowiedziała zwracając się w stronę pani Reny — taniec mi szkodzi, wywołuje migrenę.



Żubry białowieskie podczas „sjesty" południowej. Na czele stada byk — Brutus.

— Za to mąż pani zapalony tancerz — wtrąciła z pewnym przyciskiem pani Protopow.

— ...i obtańcowuje tylko najładniejsze tancerki — odcięła się pani Gabrynia.

Poczerwieniała ze złości pani Protopow. Pocisk trafił w sedno.

Pani Luba — nie dość, że nie grzeszyła urodą, miała odpychający, nieprzyjemny wyraz twarzy.

Na balach, pomimo, że lubiła tańczyć, nie znajdywała chętnych partnerów i przeważnie siedziała, wodząc zazdrosnem spojrzeniem za tańczącemi.

— Pani nie zazdrosna o tancerki — zaczepiła ją znów pułkownikowa mrużąc złośliwie swe szafirowe, o dziecinnym wyrazie oczy.

— A pani pułkownikowa? — odwzajemniła się pytaniem, trochę obrażona za tę złośliwość.

Zmieszała się pani Rena i oczy jej zabłysły gniewem, zalśniły stalowym odcieniem wyniosłości.

— Jakto, jakaś tam Gozdawina śmie docinać jej, pułkownikowej i żonie dyrektora rządowej fabryki.

Odpowiedziała z pewną wyniosłością.

— Mąż mój nie daje mi do tego okazji.

A pani Gabrynia z czarującym uśmiechem:

— Mój również...

Pułkownik kręcił się niespokojnie podczas tej słownej utarczki dwóch kobiet, na których zależało mu tak bardzo i z prawdziwą ulgą powitał ordynansa z winem.

W ślad za nim wszedł Olgierd Gozdawa, kilku oficerów i urzędników, podwładnych pułkownika.

— Chodź do bufetu — szepnął żonie.

Wstała, ale pułkownik zaoponował.

— Gdzie państwo uciekają? Wino przynieśli, napijemy się razem.

Pani Gabrynia podziękowała. Nie chciała zostać dłużej w towarzystwie tych pań, nastrojonych tak do niej niechętnie; więc wymówiła się od poczęstunku.

Chciała się przejść i zobaczyć, czy niema więcej kogo ze znajomych na balu. — W tłumie podczas tańca tak trudno kogoś dojrzeć.

Gdy pani Gabrynia z mężem wyszła z saloniku, pani Rena odetchnęła swobodniej i poweselała.

Choć się tego wyparła, zazdrosną była o swego przystojnego męża i to bardzo zazdrosną o tę nieładną i niezbyt młodą kobietę, pomimo że trzymała się ona zdala od jej Jaśka i zachowywała się względem niego raczej odpychająco.

— Takie najgorsze — myślała z goryczą — najniebezpieczniejsze, szczególniej, gdy łączą je wspólne wspomnienia z mężczyzną, wspólne przeżycia.

Pani Gabrynia szła tymczasem z mężem do bufetu. Przyłączył się do nich to ten, to ów oficer z pułku, tak, że nim dotarli do stolika, otoczona była wiankiem lampasów.

Strzeliły korki w górę, zapienił się szampan krajowy w kieliszkach.

A panie, siedzące przy sąsiednich stolikach, szeptały między sobą:

— To ta... widzisz ją... to ta... co to i Szneliński i Daszkowski...

Odymały się ukarminowane usta i usteczka w lekceważący grymas.

— Nieładna... taka sobie... co oni w niej widzą?

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

23)

Lecz nawet ta ciężka, wyczerpująca, a bezpłodna praca nie zdołała go zniechęcić. Wytrwałość, jak wiadomo, przeobraża się w zapał lub zniechęcenie. Lekok się zaciął, był nieugięty; zwyciężany na każdym kroku, wierzył niezachwianie, że i dla niego przyjdzie godzina tryumfu. Z tą myślą, z nadludzkim uporem szedł naprzód, ciągle naprzód, aczkolwiek ani na krok się nie posuwał. Wierzył w swoje zwycięstwo.

Szedł w końcu na oślep, licząc na szczęście, na wypadek, by mimo wszystko wydobyć na światło z ciemności dramat, istnienie którego wyczuwał, którym oddychał, który całym jego stał się życiem.

XXXI.

Wysiłki p. Semullera, robione celem uchylenia rąbka tajemnicy, pozostały również bezowocne, jak poczynania Lekoka.

Dziesiątki ludzi przeszło przez jego gabinet, którym to grożono, to znów schlebiano — bez żadnego wyniku.

Tak było ze świadkami przygodnymi, z ważniejszych, jeden duch zdawał się owiewać wdowę Szupe, Polita, „cnotliwą Anetkę" i panią Millerową: utaić prawdę.

Widocznem było, iż ci ludzie wiedzą, zdradzało ich czasami spojrzenie, ton głosu, niezgodność zeznań — lecz ostatecznie mówić niechcieli i nic nie można było poradzić na to.

Bywały chwile, w których pan Segmuller, najzacniejszy i najłagodniejszy człowiek, żałował, iż minęły czasy tortur, by niemi zmusić opornych do dania świadectwa prawdy.

Niemniej ostro trzymał się i sam morderca. Więcej, jego pewność siebie stawała się z każdym dniem większa. Miało się wrażenie, iż, mimo odosobnienia, wiedział, że śledztwo nie postępuje i że niczem nie okazało się zdolne go obciążyć.

W czasie jednego z badań miał nawet czelność się odezwać, nie ukrywając ironji:

— Pan sędzia długo jeszcze zamierza trzymać mnie w odosobnieniu?... I prowadzić śledztwo bez końca? Myślę, iż czas by było umieścić mnie na ławie oskarżonych, a następnie ukarać, po udowodnieniu mi winy. Mamże długo tak cierpieć z tej dobrej racji jedynie, iż panu sędziemu podoba się widzieć we mnie jakąś znakomitość?

— Trzymać cię będę bez zmiany tak długo, aż nie wyznasz prawdy.

— Już ją powiedziałem.

— Nie.

— Powiedziałem. Pan sędzia jednak domaga się, bym potwierdził swemi słowami mrzonki, które powstały w głowie owego policyjnego ajenta. W takim razie na wieczność już pozostanę w więzieniu śledczem. Niechże moja krzywda spadnie na wasze głowy.

Pan Segmuller widząc, że go nie złamie, popróbował rozbudzić w nim skruchę dobrocią. W tej myśli pozwolił mu oddać walizę, która rzekomo jego miała być własnością; a także pieniądze, jakie przy nim znaleziono, pozwolono mu wydawać na drobne przyjemności.

Dzięki nim miał możność kupienia sobie lepszego pożywienia, także paru książek. Z tych ostatnich największą rozkosz sprawił mu tom piosenek Berangera, których bardzo szybko nauczył się na pamięć, a następnie je deklamował i śpiewał po całych dniach.

Mówił, iż dzięki pieśniom tym rozszerzył znakomicie zakres swych ról, co mu się przyda bardzo, gdy odzyska wolność i wróci do swego zajęcia. Wyrażał przytem pewność, iż nastąpi to niebawem.

Żalił się przytem, że coraz bardziej tęskni za swem cygańskiem życiem, za kolegami i za oklaskami tłumów, których był zawsze ulubieńcem.

Nigdy nie widziano więźnia tak wylanego, dobrego serca, otwartego i rozmownego. Nadzwyczajnie lubił opowiadać dozorcom o swych podróżach po całej niemal Europie, a że umiał opowiadać żywo i barwnie i miał co opowiadać, słuchano go zawsze z dużem zainteresowaniem i ochotą.

A wszystkie te opowiadania sympatycznego gaduły były nacechowane taką naturalnością, że nie było takiego, któryby wątpił w ich prawdziwość.

Jeden dyrektor nie chciał nic wiedzieć o „hecarzu", być może dlatego, że opowiadań tych nie słyszał. Ten twierdził nieodmiennie, że osobnik ukrywający się pod nazwiskiem Maja, jest recydywistą i zatwardziałym zbrodniarzem; przyrzekał przytem, że to swoje mniemanie udowodni.

W wykonaniu tej myśli sprowadzał ze wszystkich cel, po kolei, złoczyńców najbardziej rozgłośnej sławy, a także wszystkich ajentów publicznego bezpieczeństwa, ale żaden z nich nie poznawał Maja.

To zachwiało wiarę dyrektora, zwłaszcza, że niektórzy ajenci, a zwłaszcza złoczyńcy, zaczęli potwierdzać prawdę słów Maja, co do istnienia Tringlota i Simpsona, na których Maj w swych opowiadaniach się powoływał.

Wobec takich twierdzeń, popartych takiemi dowodami nawet, jak ogłoszenia o występach, dyrektor uległ i w liście do sędziego śledczego zaznaczył, iż obowiązek sumienia nakazuje mu donieść władzy śledczej, iż obwiniony Maj jest właśnie, jak o sobie mówi, artystą cyrkowym.

Tego samego zdania był i inspektor Żewrol zdania, którego nie sposób było sobie lekceważyć.

Tym sposobem pan Segmuller i Lekok pozostali w swem zdaniu najzupełniej odosobnieni.

Prawda, iż oni jedni byli świadomi wszystkich szczegółów śledztwa, lecz to nie zmieniało położenia.

Dzięki swym wyjątkowym okolicznościom „Sprawa Maja" (jak ją nazywano) zaczynała nabierać rozgłosu, co dało ten wynik, że nietylko Lekok, ale i p. Segmuller stali się celem różnych przycinków i szyderstw.

Niejeden sędzia, przy spotkaniu, zapytał się p. Segmullera, jak się miewa jego Kasper Hauser, jego więzień w żelaznej masce, jego tajemniczy hecarz?...

A już z Lekoka, to najzupełniej jawnie i głośno szydził Żewrol, a za nim wszyscy jego koledzy.

W tym stanie rzeczy, obaj wpadli w stan nerwowego rozstroju, stracili sen i apetyt.

— Boże mój! — mówił do siebie w duchu pan Segmuller — czemu sprawiłeś, że ten d'Escorval upadł tak nieszczęśliwie! Gdyby nie ten wypadek on miałby na karku wszystkie moje teraźniejsze kłopoty, a ja śmiałbym się teraz z niego, jak to czynią w stosunku do mnie inni.

Nawet Lekoka ogarniało zniechęcenie, przysięgał sobie jednak, że nie ustąpi.

XXXII.

W tej myśli zaczął pilnie obserwować swego więźnia, widząc, iż żadne poszukiwania nazewnątrz nie dają rezultatu.

Początkowo nie zauważył nic niezwykłego, zastanowiło go to jedynie, iż Maj; dzień w dzień, w chwili gdy w więzieniu, wobec rozdawania rannego posiłku, panował ruch największy, a tymsamem wszyscy więźniowie mniej pilnie byli obserwowani, śpiewać zaczynał jedną i tą samą piosenkę nieodmiennie.

„Z lasku idą trzy boginie,
trzy boginie — wyszły wraz..."

— Oczywiście — powiedział wtedy do siebie Lekok — piosnka ta jest sygnałem... Lecz dla kogo?... Dla tych oczywiście, którzy znajdują się po drugiej stronie okna, bo w korytarzu ja przecież jestem. Co się zatem dzieje o tej porze, po tej drugiej stronie okna?... Wiedzieć będę o tem jutro.

Zaś nazajutrz, na godzinę przed rozdaniem posiłku, to jest o godzinie jedenastej, udał się do dyrektora z prośbą, by ten kazał, bez względu na niezwykłość pory, wyprowadzić Maja na przechadzkę, a następnie, by zechciał zająć wraz z nim miejsce w pustej po wyjściu więźnia celi.

Czuły na swe dostojeństwo urzędnik nie był nazbyt z tej propozycji zadowolony.

— Cóż tak znów ważnego, czy ciekawego chcesz mi, chłopcze, w tej celi pokazać? — zapytał nie nazbyt życzliwym tonem.

— Może nic — odpowiedział Lekok — a może rzecz doniosłego znaczenia.

Należało pójść, nie było innego wyjścia, gdyż trudno było odmawiać ajentowi, będącemu na służbie, to też dał rozkaz wyprowadzenia Maja z celi, a następnie udał się do niej wraz z Lekokiem.

A gdy, wkrótce potem na zegarze więziennym miała wybić godzina dwunasta, Lekok zaintonował zwykłą piosenkę obwinionego.

„Z lasku idą trzy boginie..."

Nie skończył jeszcze pierwszego czterowiersza, gdy gałka chleba wielkości kuli karabinowej, zręcznie przerzucona przez otwór okienny, upadła przy jego nogach.

Gdyby piorun wpadł do celi Maja, nie przeraziłby bardziej dyrektora, jak ten niewinny pocisk.

Był wprost oszołomiony, zaniemówił ze zdziwienia i stał z wytrzeszczonemi oczami i otwartemi usty, jakby nie wierzył świadectwu swych zmysłów.

Czyż to możliwe, by w więzieniu, pod jego opieką się znajdującem, miała się wydarzyć rzecz podobna? Nie, to jakaś mistyfikacja chyba!

— Tajna przesyłka — bełkotał niezrozumiale — tajna przesyłka!... Czyż to możliwe!

Lekok z szybkością błyskawicy pochwycił gałkę rzuconą i zaczął ją tryumfalnie obracać w palcach.

— A co — zawołał — nie mówiłem, że tutaj więźniowie się porozumiewają?

Ta radość młodego policjanta doprowadziła dyrektora do wściekłości.

— Więc to tak! — zawołał głosem zduszonym — więc moi więźniowie porozumiewają się ze sobą, a dozorcy ułatwiają im to zapewne! Ha!... nie ujdzie im to na sucho!

I skierował się ku drzwiom, lecz Lekok go zatrzymał.

— Co pan uczynić zamierzasz? — zapytał.

— Ja? Zaalarmuję całą służbę i powiem jej iż pomiędzy nią jest zdrajca i że nieodzowną jest rzeczą, ażeby go wydali. Muszę dać odstraszający przykład. Jeżeli po upływie 24 godzin nie znajdzie się winowajca, wszyscy, co do jednego, dostaną dymisję, bez prawa do emerytury.

I ponownie skierował swe kroki ku wyjściu.

— Panie dyrektorze — prosić zaczął wtedy Lekok — zastanów się co chcesz uczynić. Boć przecie niema żadnych danych na to, iż zamieszany jest do tego ktoś ze służby. A i to zechciej wziąć pod uwagę, że jest to godzina śniadania, zaś posiłek roznoszą po celach nietylko dozorcy, ale i więźniowie również. Gdy narobimy hałasu, nigdy nie zdołamy odkryć winowajcy, bo ręczyć można za to, iż ten się nie przyzna. Trzeba się więc przyczaić, a gdy winowajca weźmie się do powtórzenia występku, wtedy go pochwycimy na gorącym uczynku.

Uwagi te były tak rozumne, iż dyrektor musiał się na nie zgodzić.

— Niech i tak będzie — powiedział — poczekam, biada jednak winowajcy, gdy go pochwycę. Lecz w takim razie zobaczymy, co zawiera ta gałka...

— A nie — odpowiedział na to suchym głosem Lekok — to już należy do sędziego śledczego.

Gdy weszli do tego ostatniego, powitał ich słowami:

— Cóż tam nowego?... Widzę radość na twej twarzy, chłopcze, więc mi może przynosisz jakąś pomyślną nowinę?

Lekok, w miejsce odpowiedzi, położył na stole cenną kulkę chlebową. Zawierała ona zwitek cieńkiego papieru.

Pan Segmuller rozwinął go, wygładził, wreszcie zaczął odcyfrowywać, lecz szybko zbędny trud odrzucił, dodając głosem zniechęconym:

— To pismo umówione. Nic się z niego nie dowiemy.

— To się jeszcze zobaczy — rzucił uwagę Lekok — może pan sędzia pozwoli, bym ja się w tem rozpatrzył.

Pan Segmuller podał mu kartkę, na której widniał szereg cyfr:

„235 15 8 12 25 7 2 236 5 4 12 7 5 489 6 7 15..." i tak dalej na przestrzeni sześciu wierszy.

Lekok ten suchy wyciąg przeczytał raz, potem raz drugi... Wreszcie przymknął oczy, zniecierpliwiony, a po chwili wykrzyknął z radością:

— Już mam!

Pan Segmuller, oraz dyrektor wykrzyknik ten przyjęli z wyrazem dużego niedowierzania.

— Przynajmniej tak się spodziewam — rzekł po chwili zastanowienia młody ajent — sądzę, iż obwiniony i jego wspólnik użyli tutaj systemu tak zwanej podwójnej książki. Jest to sposób nader prosty. Mający zamiar korespondować ze sobą, przy pomocy szyfru, wybierają jakąkolwiek książkę tego samego wydania i sprawa skończona. Piszący, na pierwszej lepszej stronicy szuka potrzebnego mu słowa, a gdy je znajdzie, pisze najprzód numer stronicy, a na-

stępnie cyfrę, która wyraża numer kolejny na tej stronie wybranego słowa, potem słowa drugiego, trzeciego itd., potem te same poszukiwania słów potrzebnych czyni na innej stronie, dopóty, dopóki nie wyjawi całej swej myśli.

— Ależ system ten jest zupełnie jasny i do zadziwienia prosty — zawołali jednocześnie pan Segmuller i dyrektor.

— Cała rzecz teraz — dodał pierwszy, z nich — odgadnąć, jaką książką posługiwali się w omawianym wypadku dwaj przestępcy?

— O, ta strona kwestji — dał odpowiedź Lekok — nie przedstawia żadnej już trudności. Maj jest naszym więźniem przecież i posiada jedną tylko książkę: „Pieśni Berangera."

Dyrektor wywodami Lekoka był wprost oczarowany. To też zaofiarował się, iż sam pójdzie po ową książkę.

— Doskonale, panie dyrektorze — zgodził się Lekok — jest niezbędne wszelako, by Maj niespostrzegł się, iż jego pieśni ktoś brał do ręki. Jeżeli wrócił z przechadzki, każ mu wyjść ponownie pod jakimkolwiek pozorem. Jeżeli jeszcze nie wrócił — to daj rozkaz by go trzymali na dziedzińcu dopóty, dopóki my potrzebować będziemy jego śpiewnika.

— O... nie miał pan potrzeby zwracać mi na to wszystko uwagi — odpowiedział dyrektor — sam zarządziłbym to wszystko.

Nie upłynęło dziesięciu minut nawet, jak był z powrotem.

Drżącą ręką otworzył Lekok książkę na stronnicy 235-ej i zaczął liczyć, piętnastym wyrazem na stronnicy tej było słowo: „Zakomunikowałem", ósmem — „jej", dwunastym — „waszą" i t. d... aż cały tekst tajemniczego szyfru był odczytany. Oto co pisano do obwinionego:

„Zakomunikowałem jej waszą wolę. Zgodziła się. Nasze bezpieczeństwo jest już zapewnione. Czekamy na rozkazy, co czynić mamy dalej?"

Po przeczytaniu słów tych, twarz dyrektora, a nawet p. Segmullera, wydłużyła się. Przecież w liście tym absolutnie nic nie było. Był bez znaczenia!

— Co za szkoda — odezwał się nie bez ironji pierwszy, z nich — że tyle trudów i tak wyjątkowa przenikliwość... na marne poszły!

Lekok obrzucił mówiącego długiem spojrzeniem.

— Czy istotnie pan mniema — powiedział — — panie dyrektorze, że straciliśmy czas tak zupełnie naprożno? Ośmielam się być innego zdania. Ten świstek, aczkolwiek bez treści, dla nas przynajmniej, jest niemniej dowodem niezbitym, iż obwiniony Maj nie jest tym, za kogo uchodzić pragnie, a także, iż ma poza murami więzienia znajomości i że ci przyjaciele jego się z nim komunikują. Wiemy, dzięki temu świstkowi właśnie, z całą już pewnością, kim obwiniony nie jest, pozwól więc i nie zechciej przeszkadzać mi w tem, bym mógł stwierdzić: kim jest.

Ton młodego policjanta, jak również nieostrożne słowo o przeszkadzaniu, uraziły dyrektora.

— Masz pan słuszność, panie Lekok — rzekł sucho — i ja i inspektor Żewrol omyliliśmy się. Twój więzień jest najwidoczniej jakąś bardzo wielką figurą, znakomitością jakąś Paryża. Jest tylko w tem wszystkiem pewne maleńkie „ale." Zechciałbyś mi może wytłumaczyć, jakim sposobem dostojnik taki zniknąć mógł nagle z horyzontu miasta w sposób tajemniczy i nikt tem absolutnie się nie zainteresował? A przecież od czasu jak Maj jest moim gościem upłynęło już całe trzy tygodnie. Przyznaj, panie ajencie, że o takiem mojem „ale" nie pomyślałeś nawet. Cóż to dla takich wielkich głów znaczy, taka błahostka, prawda!

Był to zarzut poważny. Lekok rozmyślał nad nim niejednokrotnie i nie mógł nań dać odpowiedzi.

Zapanowało milczenie, które przerwał pan Segmuller.

— Sprzeczki te nie posuwają sprawy naprzód — powiedział — to też zamiast nich lepiejby było może pomyśleć, jakby można wyzyskać ten atut, który wpadł nam w ręce?

— O!... — zawołał młody policjant, który natychmiast się uspokoił, gdy tylko słyszał o sprawie — sposób jest łatwy i bardzo dobry. Należałoby przesłać obwinionemu bilecik podobny, a napisany według klucza już nam dzięki Niebiosom znanego. Kupi się egzemplarz pieśni Berangera tego samego wydania i będziemy mogli korespondować z nim ile dusza zapragnie.



Bawarskie miasteczko Mittenwald obchodziło ostatnio 250-lecie rozpoczęcia fabrykacji skrzypiec. Sztukę fabrykacji skrzypiec wprowadził przed 250 laty burmistrz miasteczka, Mateusz Klotz, której się nauczył we Włoszech, będąc tam przez 6 lat. Na zdjęciu widzimy przy pracy 89-letniego Baltazara Klotza, następcę sławnego Klotza.

— Na początek — mówił dalej Lekok — list ten zastąpić należy innym, mojego układu, a jutro, jak tylko rzekomy Maj da znak swym śpiewem, że czeka, mój Nalewajka rzuci mu kulkę przez okno, a ja przez otwór w drzwiach śledzić go będę, jak on sobie w tym wypadku postąpi?

Lekok był tak pewien, iż jego pomysł znajdzie aprobatę sędziego, że nie pytając nawet o pozwolenie zabrał się do pisania. W minutę potem list był gotowy. Był on tej treści:

„Zakomunikowałem jej waszą wolę. Zgodziła się. Muszę donieść jednak, iż jesteśmy zagrożeni. Okrążają nas. Czekamy na rozkazy, co mamy czynić?"

Potem zwinął cieńki papier w kulkę chlebową i powiedział:

— Jutro mieć będziemy odpowiedź.

Jutro! Dwadzieścia cztery godziny dzieliło młodego policjanta, od tej decydującej chwili. Był to bezmiar czasu. Jak to przetrwać? Jak czas ten zabić?

Poszedł do lasku bulońskiego, daleko, daleko i wrócił późnym wieczorem bardzo zmęczony. Położył się do łóżka i zasnął snem kamiennym, lecz już o czwartej był na nogach. Ubrał się szybko i poszedł do więzienia, by obserwować więźnia.

Mniemany Maj zbudził się, gdy tylko dzień zaświtał. Wkrótce potem wstał i nierównemi krokami zaczął się przechadzać po celi, zdradzając całą swą postacią ogromne zdenerwowanie. Od czasu do czasu z jego ust silnie zaciśniętych dobywały się wyrazy jedne i te same:

— Boże!... co za męka!

— Doskonale idzie — powiedział do siebie Lekok — jesteś niespokojny, łaskawco, boś nie otrzymał swego codziennego bileciku. Cierpliwości! Otrzymasz go dzisiaj... odemnie.

Nakoniec ruch powstał na korytarzach, wskazujący, iż zbliżała się godzina śniadania. Więzień wyczekiwał dość długo, aż nakoniec śpiewać zaczął swą zwykłą, o trzech boginiach piosenkę.

Nie dokończył pierwszej strofy, gdy chlebowa gałka spadła na kamienną posadzkę celi.

Lekok z zapartym oddechem obserwował, co teraz nastąpi?

Więzień ze zdumieniem spojrzał na okno, potem na okruch, leżący na ziemi, nakoniec zdecydował się na podniesienie go, a następnie zaczął z zaciekawieniem mu się przyglądać. Rysy jego wyrażały głębokie zdziwienie. Po chwili wzruszył z uśmiechem ramionami, jakby, mówił: „Jakiż ja jestem niedomyślny!..." i zdecydowanym ruchem zaczął kruszyć gałkę. Widok papieru sprawił mu jakby zawód.

— Cóż to ma znaczyć u djabła! — pomyślał zaniepokojony Lekok — cóż to za komedje urządza ten urwis?

Tymczasem więzień wygładził papier i ze zmarszczoną miną zaczął wpatrywać się w wiersze.

Po chwili jednak przyskoczył do drzwi i zaczął bić w nie pięściami, z wołaniem:

— Stróż!... hej tam... — dozorca!

— Czego hałasujesz? — zapytał nadbiegły strażnik.

— Chcę się rozmówić z sędzią śledczym.

— Chcesz nakoniec rozwiązać buzię? Dobrze, doniosę mu o tem.

Lekok nie słuchał dłużej, odszedł od drzwi i gorączkowym krokiem pobiegł do pawilonu sędziów, by opowiedzieć p. Segmullerowi cały przebieg sprawy.

Co to wszystko znaczyć miało? — nie pojmował. Dlaczego nie odcyfrował treści listu? Dlaczego zażądał widzenia sędziego?

Pan Segmuller był niemniej zdumiony. Po chwili w drzwiach gabinetu ukazał się zafrasowany dyrektor, ze słowami, iż Maj zdecydował się nakoniec na złożenie zeznań.

Pan Segmuller nie ociągał się, rzecz prosta, z zadość uczynieniem temu żądaniu skruszonego więźnia i spieszył w towarzystwie dyrektora i Lekoka, do jego celi natychmiast.

Zastali go siedzącego przy stoliku, z głową opartą na dłoni.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

TO NIC...

To nic... powtarzam, nic,
Że coś łka w duszy, cicho,
I budzi znów ze snów
Zamilkłe dawne echo...
Że wydobywa z trumn
Zburzonych marzeń zgliszcze
To nic, że wokół mnie
Ktoś drwi i czyjś śmiech świszcze...

To nic, żem sama znów
Jak kiedyś — bardzo dawno,
Że patrzę jako głaz
Na szarą i bezbarwną
Maskę tysięcy stu,
Na maskę tłumów całych.

To nic — powtarzam nic,
Że dusza się gnie, pręży,
Że strasznie ciężko, źle,
Że myśl najmniejsza cięży.
Im bowiem większy żar,
Pali metale z bliska,
Tem trwalsza będzie stal
— Wypalona do czysta.

Maryla Wawrzyńczakówna.

HALLO! „ELŻUNIU Z TORUNIA"!

„Halszka II." Ponieważ w „Krainie" jest już jedna „Halszka", przeobraziłam trochę pseudonim Pani, aby nie było kłopotu z przekazywaniem korespondencji. Liścik Pani prosty i miły. Oddaję więc go do druku bez żadnych „ujmowań w piękne ramy". Oto on:

„Jestem wysoką i przystojną blondynką, lat 24, podobno wesołą i szczerą, z zawodu urzędniczką — na tem stop! Po całodziennej żmudnej pracy, tak chciałabym gorąco rozerwać sobie chwile samotnych wieczorów, tchnących beznadziejną pustką i szarością życia. Ach, tak pogawędzić z kimś bliskim, tak szczerze, serdecznie i po przyjacielsku, tak tego pragnę. Również jestem bardzo zaciekawioną typem „Elżuni z Torunia." Musi być Ona bardzo milutką dziewczynką cieszącą się ogólnem powodzeniem. Miło by mi było narazie listownie pogawędzić z Nią, jeśli byłaby łaskawą napisać do mnie, a w czasie urlopu zjawię się w Toruniu, więc przy sposobności poznam tę p. Milusińską. Przesyłam równocześnie pozdrowienia dla „Jasnego Myśliciela", który jest czemś strapiony, „Optymisty", „Rawickiego Podlotka", „Pajaca z Pomorza" i dwóch przyjaciół „Anguisa" i „Tropidonotusa", oraz dla wszystkich Sympatyków."

UZNANIE I POZDROWIENIA

„Blanka." Zapewnie Twoje wakacje, Kochana „Blanko", już dawno minęły, gdzież więc przyrzeczenie? Wydawało mi się, że dobra i kochana „Blanka" lada moment wpadnie do redakcji, a tymczasem nic! Nie przyszła „Blanka", zawiodła — czemu, dlaczego? Dowiem się powodu wkrótce, prawda?

Czekam więc, a narazie ślę w Twojem imieniu pozdrowienia i uznanie za wiersze dla: „Jadźki z Kujaw", „Dzinki", D.Wyrybkowskiej, „Kaliny", „Białej Uajali", Wandeczki Kędziorówny, której wiersze „Śnią mi się oczy", oraz „Pożegnanie" bardzo się podobały, Zygmuntowi Garbie, M. Choszczowi, „Białemu Murzynowi" i osobne pozdrowienia dla: „Nieznanego" i „Smutnego Flora."

ŻYCZENIOM CZYNIĘ ZADOŚĆ...

„Strażnik graniczny z pod Chodzieży." Życzeniom czynię zadość i przesyłam w imieniu Pana serdeczne podziękowania za pozdrowienia: „Elżuni z Torunia", „Ilji z pod Wągrówca," „Pitoska", „Błękitnej Pantery", „Pomorzanki z pod Lubawy" i „Fali Noteci" zaś pocztą odwrotną, ślę wszystkim wymienionym wyżej Sympatykom szczery uścisk bratniej dłoni.

Sprawa dotycząca prenumeraty została załatwiona. Łączę pozdrowienia i dziękuję za pamięć z polecenia Wujka Janusza i Zawalidrogi.

ADRESY!

O adresy, celem odebrania listów, znajdujących się w redakcji, są proszone następujące osoby: „Czarny Olek", „Samotna duszyczka B.", „Marzycielka z pod Kościana", „Wandzia — podlotek", „Słodka Gilda", „Smutne Serduszko," „Czarne Oczko z Jarocina", „Haneczka", „Melutka," „Podoficer," „Skromnisia", „Robinson."

„CHCIAŁBYM SKIMŚ KORESPONDOWAĆ"

„Dumny lew." List Pana ucieszył mnie bardzo, tem więcej, że pisał go ktoś bliski, a może znany? Za słowa uznania, dziękuję jak najserdeczniej i zkolei przystępuję do rzeczy najważniejszej — przyjęcia do „Krainy". A więc zaliczam Pana do naszej ogromnej „Rodzinki" z miłą chęcią i oddaję do druku kilka słów z listu Pana:

„Chciałbym z kimś korespondować! Z jednym — a może jedną? — z wielu Sympatyków „Krainy"..."

Życzenie Pana zamknięte tylko w kilku wyrazach, ale kto wie, czy właśnie nie przemówi do serduszek miłych i sympatycznych panienek. Kto wie, czy poczta nie przyniesie pewnego dnia liściku z dalekich stron dla „Dumnego Lwa"?

Wierszyki, które Pan posiada, proszę przesłać Wujkowi Januszowi, który wyda ocenę i udzieli Panu odpowiednich wskazówek.

Sprawa nagrody — przedawniona już!

ŻNIWA

Więc już brzęczą kosy,
Tnąc dojrzałe zboże —
Zbiera piękne kłosy,
Dziewczę zdrowe, hoże.

Choć pali słoneczko,
Ona się uśmiecha,
Figlarnie przymyka oczko —
Żniwa! — To uciecha!

„Dyza."

NIE SMUĆ SIĘ!

„Cyganeczka." Nie powinnaś się smucić, będąc tak młodziutką, „Cyganeczko." Napewno los nie będzie dla Ciebie tak okrutny, jak sobie wyobrażasz i da Ci szczęście, o jakiem marzysz. Zatem główka do góry! Nie wolno się smucić i narzekać takim panienkom, jak Ty — nie wolno im być pesymistkami!

Chciałabyś skimś korespondować? Napewno i do Ciebie ktoś napisze, zwłaszcza, gdy się dowie, że kochasz wieś, że jej spokój potrzebny Ci do życia, że nadewszystko lubisz słuchać szumu drzew i że chciałabyś znaleźć bratnią duszę, taką bardzo szczerą i otwartą.

Na zakończenie przesyłam „biednej dziewczynce, która nie widzi jasnych promieni słońca w swej przyszłości, a tylko ciemne chmury," — wyrazy otuchy i dużo, dużo pozdrowień.

Sprawę prenumeraty załatwiła administracja.

KIEDY?

„Laleczka." List po otrzymaniu adresu — przekazałam. Ciekawa jestem, czy przyniósł Ci, Milutka Dziewczynko, zadowolenie?

Kiedy znowu otrzymam pożądany i sympatyczny liścik od Siostrzyczek — „Gołąbeczka" i „Laleczki"? Chyba niedługo?

DZIĘKUJĘ!

„Paproć." Ślicznie dziękuję Pani za pamięć i przesłane pozdrowienia ze Zlotu Harcerzy w Spale.

Wzmiankę Pani dotyczącą „Smętka" przedrukowuję dosłownie: „Przesyłam specjalne uznanie dla „Smętka" za jego słowność!"

POZDROWIENIA

„Halina" przesyła „Dalowi" moc serdecznych pozdrowień i dziękuje bardzo za miły liścik. Odpowiedzi jednak nie daje, gdyż otrzymała tyle liścików, że nie jest w stanie dać odrazu na każdy odpowiedź. Przyrzeka „Dalowi" przesłać list później!

O CZEM PISZE „WULKAN WESOŁOŚCI" I „KWIACIARKA?"

„Wulkan Wesołości" i „Kwiaciarka." Już dużo „Promyków", „Słoneczek", „Radosnych Serduszek" itd. zapukało do drzwi „Krainy Szczerości" ale „Wulkanu Wesołości" jeszcze wśród nas nie było, dopiero ostatnio zawitał. Napewno rozpromieni całą naszą „Rodzinkę", a zwłaszcza tych najsmutniejszych. Wątpię, czy znajdzie się ktoś, który nie będzie chciał interesować się nowemi Sympatykami „Krainy", które piszą o sobie:

„Pseudonim mój — „Wulkan wesołości"! Jestem blondynką, córką ziemianina, średniego wzrostu, o oczach szaro-zielonych — według słów innych ładną i wesołą. Lubię spędzać czas na łonie przyrody, słuchać muzyki i śpiewu, lubię również grać, gdyż jestem trochę muzykalną (skrzypce, mandolina, gitara i patefon). Interesuje mnie także życie i wszystkie jego przejawy.

Miasteczko, w którem mieszkam, jest uroczem gniazdkiem. Wokół rozciągają się piękne lasy, wśród których lubię spacerować. Życie płynie tu jak potok. Wiosna w rozkwicie jest u nas piękną, spostrzegłam jednak, że mało ludzi zwraca uwagę na to jej piękno.

Nie rozumiem również dlaczego Sympatycy „Krainy" skarżą się na monotonję życia zamiast urozmaicić sobie ten padoł płaczu według upodobania. Smutną rzeczywistością jest obecnie zanik idealizmu, tych pięknych uczuć, jakiemi darzyli się młodzi, a wzrost materjalizmu. Nawet ludzie materjalnie niezależni, nie uznają idealizmu lecz właśnie materjalizm..."

Chętnie podyskutowałabym z Tobą, Kochana Dziewczynko, na temat szerzącego się materjalizmu, jednakże w „Krainie" jest zbyt mało miejsca na podobne dysputy. Może ktoś z Sympatyków wyręczy mnie, a ja tylko dodam od siebie, że świat się dzielił zawsze na dwie klasy, ludzi — na tych, dla których jedynym celem była nieustanna i gorączkowa pogoń za fortuną i tych, którzy gardzili materjalizmem, zamiłowani w ideałach i wyższych aspiracjach. Tak jest i dzisiaj, chociaż faktycznie materjalizm jest znacznie więcej, a to z powodu przykrych czasów kryzysowych, wytwarzających ciężkie warunki życiowe.

A teraz oddaję głos „Kwiaciarce":

„Jestem jasną blondynką, szalenie wesołą o kocich oczach. Lubię kwiaty, taniec, śpiew a szczególnie leśne zabawy i ludzi, kochających las i ziemię. Jeżeli więc jakiś leśniczy lub ziemianin chciałby wymieniać swe myśli z „Kwiaciarką" — proszę skreślić do niej kilka słów."

ZMIANA PSEUDONIMU

„Marzące usta." Pseudonim nieszczególny! Proszę, niech Pani poda inny, a apel zamieszczę jak najchętniej.

Z SMUTNYCH PRZEJAWÓW ŻYCIA

„Księżniczka Dari.“ Bardzo ucieszyłam się liścikiem Pani, a ponieważ treść jego jest niezwykle ciekawą i pozwoli nam poznać bliżej Panią, oddaję część jego do druku:

„Urodziłam się w Armenji na Kaukazie. Jestem po ojcu ormianką, matka moja natomiast była polską szlachcianką, pomimo to, nie mam wysokich aspiracyj, bo doszłam do przekonania dzięki upokarzającym przejściom, że tytuły dzisiaj dla człowieka bez zabezpieczenia materjalnego — nic nie znaczą. Ciężkie było dla mnie to odkrycie, gdyż byłam przyzwyczajona do zbytku w domu rodzicielskim, wszyscy się ze mną liczyli, a dla rodziców byłam „słoneczkiem“, a tu odrazu wszystko się zmieniło. Straciłam matkę — najdroższą istotę na świecie, straciłam ojczyznę, zabierając ze sobą wszystkie wspomnienia i tęsknoty młodej, zaczynającej dopiero żyć w krainie marzeń duszy, i wreszcie zostawiłam mego ojca w Rosji i znalazłam się w Polsce.

Dużo spotkało mnie już upokorzeń, znaleźli się nawet tacy ludzie, którzy drwili ze mnie — z mego tytułu. Wątpię, czy ktoś zdoła pojąć mój stan psychiczny, jaki wówczas przeżywałam. Obecnie jestem jakby podwójną istotą, dla ludzi wesołą, a dla siebie pełną udręki, wspomnień i tęsknot do innego życia...“

Biedna, mała „Księżniczko!“ Liścik Twój długi i obszerny, wydał mi się bajką z tysiąca i jednej nocy. Widzę jednak, że i w życiu dzieją się bajki. Ogromnie mnie zainteresowałaś! Fotografją bardzo się cieszę. Na nowy liścik i zapowiedziane wierszyki — czekam z utęsknieniem. Być może, że porozmawiamy kiedyś osobiście. W mieście, w którym zamieszkujesz, bywam często, więc poznanie osobiste nie jest wykluczone.

Przesyłam Ci, „Smutna Księżniczko“, moc uścisków i radosny uśmiech, aby Ci było pogodniej i jaśniej w życiu.

CIESZĘ SIĘ

„Elżunia z Torunia.“ Z słów listu Pani, wnioskuję, że o „zaginięciu listów“ nie może być mowy. Skoro Pani odebrała od „Steni z Pomorza“, to napewno i drugi list również. Chyba „Wesoła Wdówka“ wyjaśniła nieporozumienie?

Ogromnie cieszę się, że sprawa wyświetliła się w ten sposób i że jest Pani znowu zadowoloną. Ślę siostrzane uściski i wyrazy sympatji.

W JEDNYM Z NASTĘPNYCH NUMERÓW

„Opuszczona Owieczka.“ Za pocztówkę, przesłaną mi z letniska — dziękuję serdecznie. Czy otrzymała Pani brakujący nr. „Moich Powieści“? List z fotografją odebrałam. Obszerną odpowiedź na niego dam w jednym z najbliższych numerów. Łączę tysiączne pozdrowienia dla poważnej, o smętnej twarzyczce Panienki z fotografji.

NATURALNIE!

„Verte.“ „Czy Pani mnie także przyjmie do kącika „Krainy Szczerości“?“ — pyta Pani nieśmiało na wstępie. Ależ naturalnie! Przyjmuję i oddaję część listu do druku, bowiem w ten sposób poznamy wszyscy Panią odrazu i dowiemy się od Niej trochę ciekawych rzeczy:

„Jestem mieszkanką takiego sobie małego miasteczka na Pomorzu, którego najwyższą zaletą jest bardzo piękne, duże jezioro, z jednej jego strony rozciąga się park, zaś z drugiej duży las, z powodu tego, mamy też zawsze latem w naszej mieścinie dużo gości, przybywających tutaj na letnisko. Jestem miłośniczką sportu wodnego, pasjami lubię jazdę kajakiem. Niedawno sprawiłam sobie „Kodak“ i robię niem najróżniejsze zdjęcia. O ile zrobię zdjęcie bardzo ładne, to Pani prześlę.

Bardzo podobał mi się wierszyk z nr. 15 „M. P.“ — „Pożegnanie“ p. Wandy Kędziorówny, to też ślę Jej milutkie pozdrowienia. I ja miałam i mam bardzo smutne przeżycia. Trudno jednak tak szczerze się z nich wypowiedzieć, bo po pierwsze byłoby zbyt dużo do opowiadania, a po drugie musiałabym wyjawiać rzeczy dla mnie bardzo, bardzo bolesne. — Pomimo smutku umiem być także wesołą — smucę się jedynie, gdy jestem sama.

Chciałabym korespondować z kimś z „Rodzinki“ „Krainy Szczerości“, czy ktoś do mnie napisze?“

Równocześnie zapytuję się, czy któryś z Czytelników, właściciel książki: „Dzwonnik z Notre-Dame“ — Wiktora Hugo, nie pożyczyłby mi jej? Ogromnie byłabym wdzięczna!“

ŻNIWIARZE

Na spracowanych barkach złożyli
Żniwiarze swoje kosy błyszczące
I poszli ranem wczesnym, hen, w pola —
W żytnie zagony, chlebem pachnące.

Szerokim krzyżem pierś naznaczyli —
I w karnym ordynku nad łanem złotym
Stanęli chwilę... potem ruszyli
Srebrzyste kłosy kłaść w rząd pokotem.

Długo brzęczały ich srebrne kosy,
Migały sierpy żniwiarek hożych,
A śmiechy głośne perlistą gamą,
Echem szły pośród ściernisk bezdroży.

Długo się kładły kłosy srebrzyste,
Cichutko do bosych słały się stóp
Żniwiarzy, jakby hojną zapłatą —
Za prace oraczy, ciężki ich trud.

„Kalina.“

„NIE OTRZYMAŁAM ŻADNEGO LIŚCIKU“

„Dzikuska z Hultajskiej Trójki“ pisze:

„Dotychczas nie otrzymałam żadnego liściku od Sympatyków „Krainy“, choć tak ich się spodziewałam. Jednakże nie rozpaczam z tego powodu i żyję nadzieją, że i do mnie zbłądzi kiedyś, zawita jakiś liścik. Myślałby kto, że jestem naprawdę „dziką“, muszę więc wyjaśnić, że tak się sprawa nie przedstawia. Jestem sobie bardzo wesołą i miłą istotą. Może więc jakaś bratnia dusza zechce zemną szczerze pogawędzić, choć tylko listownie?

Zainteresowałam się bardzo: „Regnesem z Pogranicza“ i „Hordem“. Przesyłam również milutkie pozdrowienia: „Wiejskiemu Motylkowi“ „Rodowitej Kaszubce“ (pochodzę również z nad morza), „Śląskiemu Sokołowi“, „Jasnemu Myślicielowi,“ „Ryśkowi Szczeremu“ i „Achillesowi z postrzeloną piętą.“ Może który z powyższych Panów do mnie napisze? — odpowiedź murowana!“

Chyba nie będziesz się gniewała, Kochana „Dzikusko“, że dałam do druku bez aprobaty Twój liścik? Jestem przeświadczona, że tym razem apel Twój nie minie bez echa. Napewno otrzymasz upragniony list z dalekich stron Polski, a kto wie, czy nie kilka. Dziękuję za pozdrowienia „Minerwie“, „Afrodycie“ i ślę dla „Hultajskiej Trójki“ moc uścisków.

„KOCHAM RODZINNE STRONY“

„Błękitna Fala Bałtyku.“ Kilka miłych słów od Pani — otrzymałam. Dziękuję za nie serdecznie i oddaję je do druku:

„Mam lat 21, oczy niebieskie i ciemno-blond włosy. Jestem mieszkanką ślicznie położonej miejscowości nad polskiem morzem. Kocham bardzo te moje rodzinne strony i chętnie chciałabym, by każdy z Sympatyków „Krainy“ miał sposobność poznać sine fale naszego Bałtyku.

Zasyłam serdeczne pozdrowienia dla „Regnesa z Pogranicza“ i całej miłej „Krainy.“

WIECZÓR LIPCOWY

Wieczór. Tam — w górze — na nieba granacie
Zawisł krągły księżyc, w srebrno-złotej szacie
I sieje na ziemię bladziutkie promienie,
Na której już drzemią tajemnicze cienie.

Cisza. Gdzieś tylko, świerszcz piosenkę swą dzwoni
I gwiazdka migoce, na niebieskiej toni. —
Wolno — wolniuteńko — wiatr drzewa kołysze,
Jakby się bał przerwać tą wieczorną ciszę.

Może gdzieś w tej chwili, szepty ciche płyną,
Może ktoś śni sen o szczęściu jedynem,
Może ktoś marzy i prosi i czeka
Na szczęście, co jutro przyjdzie z daleka.

Może w takiej chwili serce czyjeś płacze,
Skazane na pustkę i życie tułacze,
Może serce to czeka na kres życia nowy,
Prosząc o to Stwórcę w ten wieczór lipcowy.

„Dzinka.“

NAJDOGODNIEJ!

„Nieznana Elli.“ Do „Krainy“ przyjmuję Panią już dzisiaj. Wierszyki, proszę, niech Pani skieruje do Teczki Wujka Janusza, który wyda o nich ocenę.

„Moje Powieści“ najdogodniej zaabonować za pomocą czeku P. K. O. W tym celu nasza administracja wysłała Pani kilka blankietów.

Łączę pozdrowienia dla Pani i „Błękitnej Rycerki.“

KTO ZECHCE?

„Kameleon.“ List Pani pogodny, pisany trochę z brawurą, odczytałam z wielkiem zadowoleniem. Nie namyślając się dużo, oddaję część jego do druku. Co słychać z moimi wakacjami? Narazie nic i zapewnie zawsze „nic“, bo coby się stało z moimi kochanymi Sympatykami? A oto słowa z listu Pani:

„Nie znam co to nudy. Pracy mam zawsze dużo. Smutną również nie jestem, gdyż w życie patrzę trzeźwo. Czasem jednak odczuwam potrzebę podzielenia się z kimś swojemi wrażeniami. W tym celu przedstawiam się memu „Rodzeństwu“ z „Krainy“, prosząc o pamięć: Jestem wysoką czarnulą, urzędniczką. Podwładni boją się mnie, choć chętniej widzę ich uśmiechy, jak lęk, bo to niezbyt przyjemne. Choć jestem kierowniczką, to do babci mi daleko, bo wiek mój coś pomiędzy 20 a 70 lat. Kocham szczerość, przyrodę i uśmiech, a brzydzę się kłamstwem. Kto zechce się ze mną podzielić swemi myślami? Odpowiedź — murowana!“

Teczka Wujka Janusza

ZMIANA PSEUDONIMU

„Czarna Perła.“ W pierwszym rzędzie proszę Panią o zmianę pseudonimu, gdyż w „Krainie“ figuruje już jedna „Czarna Perła“, a następnie przystępuję do oceny wierszy:

Utwór Pani „Wspomnienie“ jest nawet bardzo słaby. Poza patosem, posiada jeszcze tę słabą stronę, że razi miejscami w układzie. Nie można przecież pisać w ten sposób:

„Ma dusza już się utęskniła,
Do tych rodzinnych, miłych stron,
Lecz serce samo zawiniło,
Gdy wówczas biło smętny ton.“

Gdzież tu jest jakaś logika, gdzież styl? Poprostu nie rozumiem, że mogła Pani tak świetnie napisać drugi wiersz: „Serce“. Jeżeli mi Pani doniesie, że nie jest on żadnem naśladownictwem, lecz samodzielnym utworem, umieszczę go w następnym numerze. Również ucieszę się, gdy prześle mi Pani więcej wierszyków.

Przesyłam mej nowej Sympatyczce dużo serdecznych pozdrowień i proszę o jak najczęstszą pamięć.

SAMOTNOŚĆ

...I dziś znużonym okiem patrzę w świat —
I pytam: kędyż słonecznych dni mych ostoja?
Kędyż miniony czar dawnych lat —
Pytam — kędyż jest górna młodość moja?

Dziś — ach! jakże szary dla mnie świat,
Już mnie nie cieszy lata przebogaty chram,
Bo dzisiaj znikł, przeminął, szczęścia kwiat —
Szkoda mi tylko moich górnych lat.

Żal mi jest tylko, mych wiośnianych lat,
Żal mi jest tylko dawnych szczęsnych dni,
Które mi zabrał chmurny i zwodniczy świat —
Dziś o grobie jeno serce śni.

„Biała Uajali.“

UCIESZYŁEM SIĘ BARDZO!

„Maleńka Dzidzi.“ Dziwiłem się dlaczego nie pisze „Dzidzi“, nawet posądzałem Ją, że zapomniała o Wujku Januszu i — odrazu otrzymuję od Niej potężny list z fotografją. Ucieszyłem się, jak nigdy!

Najwięcej zadowolenia sprawiła mi wiadomość, że „Maleńka Dzidzi“ jest znowu pogodna i beztroska. Tak być powinno! Zawsze główka do góry, choć nieraz źle bywa.

Fotografję zwrócę listownie. O treści listu nie będę dużo mówił, najlepiej, niech mi Pani przysyła podobne arkusiki — częściej. Przeczytam je sobie chętnie, zwłaszcza, gdy będę zmęczony i smutny. A teraz — żegnaj miły Chochliku! Czas mi już kończyć odpowiedź, bo miejsca w „Teczce“ mało, a listów dużo, bardzo dużo.

Raj kobiet

Kosmetyki elegantki z przed 1600 lat

Musiała to być bardzo wytworna i dbała o swój wygląd dama, której kości znaleziono przed kilkoma dniami w ołowianej trumnie na starym rzymskim cmentarzu w Saint Gervais we Francji. Określono jej wiek na „bagatelkę“, bo... 1600 lat.

W kamiennym sarkofagu znaleziono ołowianą trumnę, a w niej przy mizernych resztkach szkieletu olbrzymią ilość buteleczek i słoików. Zawierały one nietknięte przez nielitościwy czas szminki, pudry i inne kosmetyki.

Istniał rzeczywiście zwyczaj rzymski, że elegantkom wkładano do trumny to, czego najczęściej używała za życia. Obecność kosmetyków w trumnie nie jest więc nawet tak bardzo dziwna.

RADY PRAKTYCZNE

Jak czyścić żelazne płyty pieca kuchennego

Kupić w sklepie gdzie sprzedają farby, oleje, smary itp. rzeczy, kawałek szmirglowego kamienia. Starym nożem zeskrobać na blachę, w kącie, tyle mniej więcej, by tego proszku była łyżeczka, potem wziąć kawałek cytryny (1 czwarta) i wycisnąć sok na ten proszek. Tym zwilgłym proszkiem, przy pomocy szczotki, szurować płyty kuchenne jak długo jeszcze są gorące. A potem suchą szmatką wypolerować, a błyszczą się, aż miło!

—o—

Jak odświeżyć linoleum

Kupić bezbarwnego laku, wymieszać z terpentyną i przy pomocy szmatki lub pędzla polakierować linoleum, odstawić na miejsce przewiewne, by wyschło, a potem flanelą dla politury przetrzeć. Przed zabiegiem oczyścić letnią wodą z mydłem.

—o—

Ze świata

Brodata królowa murzyńska

Podróżnik angielski, M. Resher, powróciwszy niedawno z wyprawy naukowej do Afryki, opowiada, że był świadkiem niezwykłego wyboru króla przez jedno z plemion murzyńskich na terytorjum Kenji. Stary król tego plemienia właśnie zakończył życie, gdy Resher przybył do jego stolicy, krajowcy więc przystąpili do wyboru nowego władcy.

Kandydatów do murzyńskiego tronu było nie mało, ale na tronie tym zasiadł nie mężczyzna, lecz kobieta, a to jedynie dlatego, że matka przyroda obdarzyła ją długą, gęstą brodą.

Ten wybryk przyrody tak imponował przesądnym krajowcom, gdyż, jak wiadomo, Murzyni nie posiadają przeważnie zarostu, albo też mają zarost bardzo skąpy, nie mówiąc już o kobietach murzyńskich, że czarni wyborcy uznali swą brodatą współobywatelkę za najgodniejszą objęcia władzy nad nimi i jednogłośnie osadzili ją na osieroconym tronie.

—o—

Kapelusze dla pań rosną na... drzewie

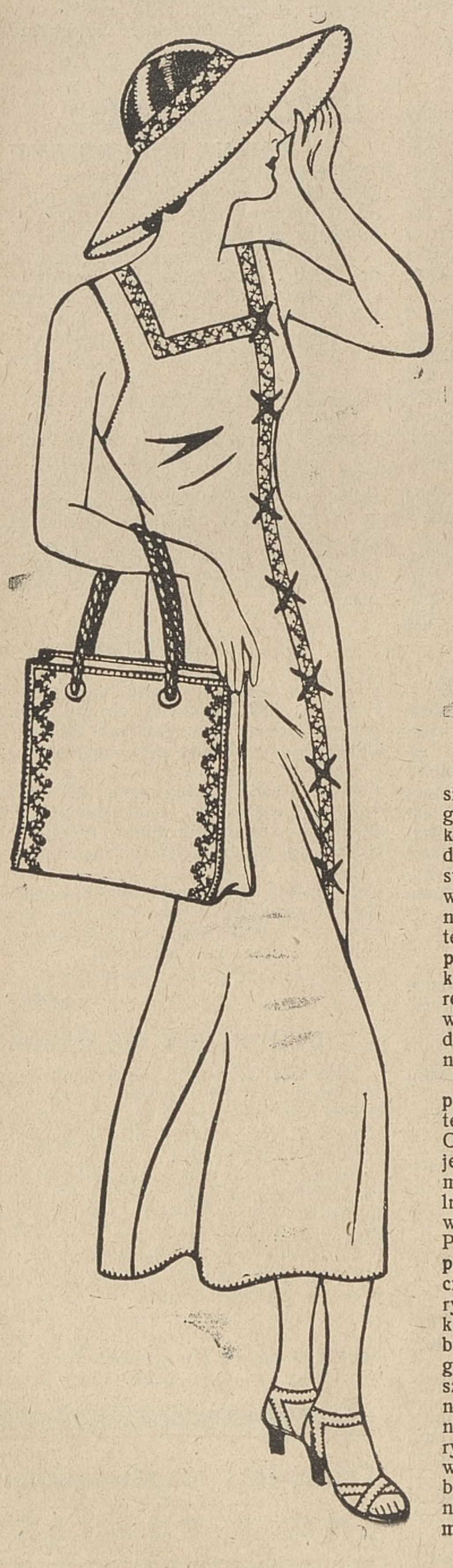
Istnieje na świecie drzewo, na którem rosną modne kapelusze damskie... Znajduje się to cudowne drzewo w stanie Oaxaca w Meksyku. Jest to „Crescencja cujete“, którego owoce pokryte są lekką, jakgdyby ze słomy wyplataną łuską. Łuska ta, przedzielona na dwie części, służy miejscowym damom za kapelusze...

Moda ta przekroczyła już granice stanu Oaxaca i zaczyna przyjmować się w całym Meksyku, skąd może przedostanie się i dalej.

Łuska owocu Crescencji może służyć także za miseczkę na płynne pokarmy i przez tubylców nazywana jest dlatego „lunch.“

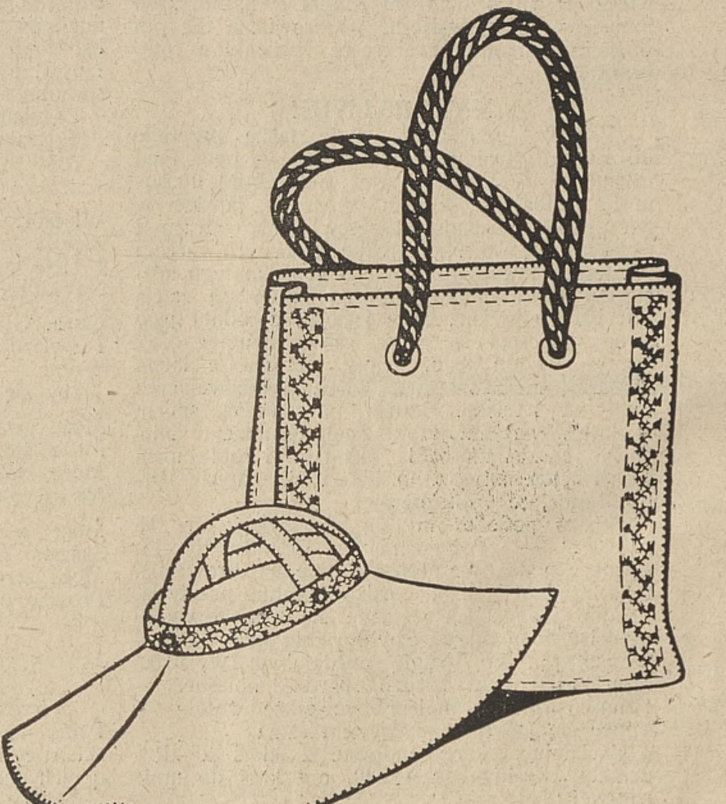
—o—

Zróbmy same!



Praktyczna pani, wybierając się nad morze, nie zapomina nigdy zabrać ze sobą plażowej sukienki, torby i kapelusza. Przy dobrych chęciach i odrobinie gustu może każda z nas rzeczy te wykonać i upiększyć samodzielnie i w ten sposób uniknąć zbytecznego wydatku. W tym celu podajemy dzisiaj model sukienki, którą możemy również własnoręcznie ozdobić haftem, a obok wzór na praktyczną i nie trudną do zrobienia torbę, oraz oryginalny kapelusz.

Torbę wykonujemy w następujący sposób: Bierzemy kawał tektury 90 cm. dług. i 30 szer. Odmierzamy od góry 35 cm z jednej i z drugiej strony, zginamy i następnie obszywamy w lniane płótno brzegiem wyhaftowane, jak widzimy na zdjęciu. Po bokach wszywamy części z podwójnego materjału długie 35 cm, u dołu 20 cm. szer. a u góry zwężone nawet do 12 cm. Z kolei wykończamy krawędzie torby, obszywając je starannie dość grubym, jedwabnym, kolorowym sznurem. Otwory do przeciągnięcia sznura do przytrzymywania zrobi nam za parę groszy rymarz galanteryjny. Torba ta wykonana starannie i pracowicie będzie wyglądała pięknie. Wzór na haft można otrzymać w administracji w cenie 50 gr.



Co słychać w polityce?

Pasjonujący od wielu tygodni opinję świata zatarg **włosko-abisyński** zdaje się wchodzić w fazę rozstrzygającą. Z jednej strony mnożą się wysiłki zmierzające do pokojowej likwidacji zatargu, z drugiej padają ważkie oświadczenia i zapowiedzi w ślad za któremi idą czyny, wskazujące na coraz bezwzględniejsze zaostrzenie się konfliktu, w kierunku zbrojnego rozstrzygnięcia.

Wielka mowa ministra spraw zagranicznych Anglji, Sir Samuela Hoare, była jakgdyby sygnałem dla rozpoczęcia żywszej akcji dyplomatycznej w kierunku pokojowej likwidacji zatargu, której kulminacyjnym punktem są podjęte przez rząd francuski w Rzymie sondowania co do możliwości przyjęcia planu francuskiego, który uwzględniając z jednej strony, uznane nawet przez Anglję za słuszne, postulaty ekspansji włoskiej, z drugiej chciałby zagwarantować w jakiejkolwiek formie suwerenność Abisynji. Przysłowiowe zadanie z kozą, wilkiem i sianem, które łatwo może skończyć się połknięciem abisyńskiej kozy przez włoskiego wilka, z pozostawieniem, innym stronom zainteresowanym, w rozstrzygnięciu zatargu, siana dyplomatycznych frazesów, nie żywiących już dzisiaj nikogo.

Plan francuski przewiduje bowiem ni mniej ni więcej jak oddanie Włochom protektoratu **nad Abisynją**. Jak to pogodzić z dążnościami do zachowania suwerenności kraju, choćby ograniczonej od strony czysto formalnej. I co na to powie Abisynja?...

Jak wynika z mowy wygłoszonej przez **cesarza Abisynji** na ostatniem posiedzeniu parlamentu abisyńskiego, oraz z licznych jego enuncjacji ogłoszonych ostatnio na łamach wielkich dzienników światowych, amerykańskich, angielskich itp., Abisynja gotowa jest bronić swej niepodległości wszystkiemi siłami.

Przemówienie to zdaje się przekreślać rachuby na możliwość pokojowego załatwienia zatargu. „Nie możemy zgodzić się na propozycję protektoratu włoskiego nad Abisynją" oświadczył cesarz Heila Salassie. A że Włochy do takiego protektoratu dążą i w tym kierunku posiadają poparcie Francji, więc...

Ale, jak to podkreśliliśmy w jednym z ostatnich przeglądów, trudno w tym wypadku przewidzieć wszystkie momenty, które jednak w ostatniej jeszcze chwili wpłynąć mogą na zmianę sytuacji. **Wojna w Abisynji** nie leży w interesie **Europy**, a najmniej Anglji i dlatego może znajdą się środki dla jej zażegnania.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 28. VII. do 3. VIII. 1935 r.

Niedziela, dnia 28 lipca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.00 Transmisja Nabożeństwa 11.00 Transmisja z Lipska. W przerwie — Teatr Wyobraźni nadaje fragment słuchowiskowy „Miód kasztelański" 13.00 Za morzami — u brzegów słonecznej Afryki 13.20 Poranek muzyczny 14.00 Muzyka salonowa 15.00 Kursy pszczelnicze w Wacynie. Reportaż. 15.10 Muzyka 15.22 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Muzyka z płyt 15.45 Pogadanka rolnicza 16.00 Koncert mandolinistów „Hejnał" 16.20 Recital fortepianowy 16.45 Szkic literacki 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — Koncert 18.00 Transmisja z Kolonji Młodzieży Akademickiej w Juracie nad morzem 18.15 Cała Polska śpiewa 18.45 Wzdłuż granic Polski 19.25 Muzyka 19.50 Życie angielskie bez różowych okularów 20.00 Ze wspomnień o Piłsudskim: Komendant w stosunku do szarego człowieka 20.10 Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Etiudy dla niedowiarków — wesoła audycja muzyczna 21.30 Na wesołej lwowskiej fali" 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Nasza Marynarka gra 23.05 Muzyka.

Poniedziałek, dnia 29 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Arje i pieśni w wyk. znakomitych tenorów 15.30 Letnie nastroje — koncert 16.00 W co się będziemy bawili? — audycja dla dzieci 16.15 Orkiestra kameralna 16.50 Przerwana pieśń — J. Ejsmonda 17.00 Recital śpiewaczy 17.20 Muzyka instrumentalna 17.35 Erwin Lendwai, Kwintet na flet, obój, klarnet, waltornię i fagot op. 23 18.00 Piorunochron — odczyt 18.15 Cała Polska śpiewa 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Utwory popularne w wyk. Ork. Cygańskiej 19.30 Muzyka 19.50 Co czytać? 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Muzyka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert polskiej muzyki symfonicznej 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 30 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Mała Orkiestra 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Zespół Wiktora Tychowskiego 13.30 Z rynku pracy 15.30 Edward Grieg 16.00 Skrzynka P. K. O 16.15 Koncert solistów 16.50 Bałtyk z lotu ptaka Kornela Makuszyńskiego 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 18.00 Polowanie na potwory morskie 18.10 Minuta poezji 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Skrzynka techniczna 18.45 Wiedeńskie walce 19.15 Koncert reklamowy 19.30 Charakterystyczne drobiazgi fortepianowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 „Pajace" — opera Leoncavallo 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 31 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Charpentier: Wrażenia z Włoch 15.30 Mała Orkiestra P. R. 16.00 Młodzież na wakacjach 16.15 Koncert z udziałem Teodora Szalapina 16.50 Dziewczę z kabaretu — humoreska 17.00 Koncert kameralny 17.25 Koncert w wyk. ork. kameralnej 18.00 Wesoły skecz 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Opowiadanie dla dzieci 18.45 Muzyka 19.30 Lekkie piosenki i duety 19.50 Świat się śmieje 20.00 Poznajmy przepisy finansowo-rolne 20.10 Wesoła audycja 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert chopinowski 21.30 Komendant jako mówca i pisarz 21.40 Koncert polskich pieśni ludowych 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Czwartek, dnia 1 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 J. Brahms: Symfonja c-moll 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Mała Orkiestra P. R. 15.30 Koncert orkiestry salonowej 16.00 Samoloty dla dzieci — wygłosi Stary Doktór 16.15 Koncert solistów 16.50 „Pani Nowakowa" — Heleny Boguszewskiej 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 18.00 Książka i wiedza — O książce prof Wertensteina p. t. „Pochwała fizyki" — odczyt wygł. dr. Jerzy Baumgarten 18.10 Minuta poezji 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Dokąd jechać w święto 18.45 Muzyka salonowa 19.15 Koncert reklamowy 19.30 Utwory skrzypcowe 16.50 Pogadanka aktualna 20.00 Nowiny leśne 20.10 Koncert Orkiestry Reprezentacyjnej 36 p. p. 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Recital śpiewaczy Mieczysława Szaleckiego 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. „Fräulein Doktor 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego.

Piątek, dnia 2 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.30 Zespół Zygmunta Grossmana 16.00 Dostosowanie się zwierząt i roślin do życia wodnego 16.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego ze Lwowa 16.35 Pogadanka dla chorych 16.50 Codzienny odcinek prozy. „Naparstek" — nowelka Wacława Grubińskiego 17.00 40 minut dla dzieci — koncert 17.50 Muzyka lekka 18.00 Z gór Podhala do ojcowskich skał — reportaż — wygł. red. Kazimiera Muszałówna 18.15 Cała Polska śpiewa 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Muzyka 19.30 Recital skrzypcowy Miszy Poznańskiego 19.50 Aktualny monolog — Gawędy Ciotki Allinowej 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Nieznany zielony balonik — wesoła audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 3 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Utwory Edwarda Wagnera 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Mała Orkiestra P. R. 14.30 Nowości z płyt 15.15 Muzyka 15.25 Nasz handel morski 15.30 Audycja dla dzieci pt. „Czar Andersena" 16.00 Skrzynka techniczna 16.15 Lekkie piosenki 16.25 Recital fortepianowy Stanisława Nawrockiego 16.50 U mety 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 18.00 Poradnik sportowy 18.10 Minuta poezji 18.15 Cała Polska śpiewa 18.45 Muzyka lekka 19.30 Nasze pieśni 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Przegląd prasy rolniczej krajowej i zagranicznej — wygł. inż. Irena Niewodniczańska 20.10 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy, poświęcona Legjonom Mrrszałka Piłsudskiego 21.30 Dzień świąteczny na Południu — koncert symfoniczny 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Wesoła Syrena 22.30 Muzyka lekka i taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ROZSYPANE TAFELKI

ul. „Ka-Jot" — Grudziądz

W T	I R	L R	O A	O W
K R	Z L	R E	A Y	P O
B Ń	O N	N A	A A	W O
E N	I T	S E	R U	L O
R P	N Y	N T	A N	A U

Dane tafelki należy ułożyć tak, aby otrzymać po 5 miast, ew. poziomo i pionowo.

SZARADA

(Ułoż. Wł. Lubnauer).

Przyjacielu!
Ożeniłeś się bracie?... Pysznyś jak zwycięzca,
Którego czoło wieniec ozdabia laurowy!
Ze szczęścia znaleźć sobie nie możesz już miejsca?
Radosne słychać wszędzie t r z y — s i ó d m e Twej mowy?...
Z czego się cieszysz? — pytam — Azali ci snadnie
Nie przyjdzie płakać jeszcze, gdy Cię żonka zdradnie
Oszuka i w „trójkącie" Ty będziesz tym „trzecim", —
Lub puści „kantem" Ciebie, za innym poleci?...
Jeśliś, stanowczy; ryknież hardo w takim razie:
„Całe!" Zawsze, S z e ś ć — t r z e c i e stałaś na mej zdradzie
Jeśliś zaś słaby, legniesz w miękkim c z w a r t y m - p i ą t y m
I ze smutkiem przeglądać będziesz puste kąty!...
A może prządka życia lepszą nić Ci wije
I przed oczyma przyszłość jaśniejszą los kryje:
Żona o stroje ciągle brzęczy, jak r a z - s z ó s t y, —
I tem więcej, im bardziej trzos Twój będzie pusty!...
Pomyślności t r z y z d r u g i e m życzę na tej drodze!...
Oby Cię owe szczęście nie zawiodło srodze!...
Ja Ci z mej strony jednak daję zapewnienie,
Że sam się przyjacielu... nigdy nie ożenię?!

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku 2 sierpnia br. Rozwiązanie i przyznanie nagród z nr. 28 w nast. numerze.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

46)

Zimny pot wystąpił na jego czoło, zachwiał się i wyczerpany upadł na krzesło, słysząc równocześnie oddalające się i milknące w końcu kroki Kazimierza.

„Biada, cóż uczyniłem", zawołał ochrypłym głosem, załapiąjąc palce w swoich jasnych włosach, — „on nie jest oszustem, — lecz ja, — tylko ja! Zaprawdę, — on jest niewinny, nie przeczuwa, że to dziewczę żyje. Gdybyś wiedział, że nie umarła, że była tutaj oddzielona tylko kilkoma drzwiami od niego. — Odszedł pełen rozpaczy, — a ja, — ja nic nie uczyniłem, by ulżyć jego boleści. Powinienem był przecież mu oznajmić tę błogą wiadomość, że żyje — że ją zobaczy!

„Serce, które uniósł ze sobą", mówił dalej doktór, „serce, którego będzie strzegł jak skarbu i jak świętości, — ha, ha, — co za bolesna ironia ludzkiego losu, — jest sercem upadłej, nierządnicy, którą przed paru dniami znaleziono nieżywą na bruku. Trupa kupiłem celem studjów.

„Przeklęte oszustwo, — bolesny błąd! — Będzie się więc modlić do serca ulicznicy! — Do serca, które żywiło niegdyś najpodlejsze uczucia!"

Głowa lekarza opadła na stół i cichy płacz wydarł się z jego piersi.

„Dlaczego milczałem, — dlaczego popełniłem to oszustwo?" ciągnął dalej po kilku minutach, podnosząc głowę, — „nie, nie, — nie oszukuj siebie samego, — nie uczyniłem tego dlatego, by go ukarać, — lub że może słuszność była po mojej stronie, — lecz, — bądź otwartym. Henryku, wobec siebie, — dałem mu to fałszywe serce, by żyjące zatrzymać dla siebie, gdyż pokochałem tę dziewczynę ,którą niebo czy piekło sprowadziło pod mój dach. Niebo czy piekło, — anioł czy djabeł! — Któż to może wiedzieć? Może to żyjące serce zgotuje mi sto razy większe katusze, aniżeli temu obcemu owo fałszywe, do którego chce zasyłać swe modły!"

LXIV.

Małżeństwo bez miłości

Trzy miesiące upłynęły od tego czasu, jak Kazimierz Zamski skrępowanym został wbrew woli nierozerwalnymi węzłami, które mu się głęboko w ciało wcisnęły. To prawda! — węzły, jakiemi go związał sakrament małżeństwa nie były girlandą z róż, o nie, — był łańcuch z najtwardszego metalu, jaki tylko biedny skazaniec wlec ze sobą musi. Właśnie takie idealne, bo niewidzialne więzy bolą często stokroć więcej, — cięża centnarem na dotyczącym!

Kazimierz cierpiał, — każda chwila przeżyta wydawała mu się jednem więcej ogniwem do pasma nieszczęść, ale Lola cierpiała jeszcze więcej, — jeszcze silniej.

Kazimierz żył przynajmniej życiem we wnętrznem, którego nie zdradzał nigdy przed okiem świata zewnętrznego. Całą siłą swej duszy wpił się w słodkie, nigdy z pamięci mu nie wychodzące wspomnienie, — w swoje nieliczne wprawdzie, ale zato pełne godziny szczęścia. Cierpiał, to prawda, ale chwilami czarowne obrazy przeszłości odrywały go ze sobą w jakąś krainę lepszą, — krainę marzeń; — zapominał wówczas na chwilę o swoim rzeczywistym stanie, — czuł się szczęśliwym.

Przeciwnie Lola nie miała żadnej podstawy pod nogami; — wzburzone bałwany namiętności rzucały nią jak piłką raz w tę, raz w ową stronę, — załzawione oko nie mogło nigdzie spostrzec zbawczego brzegu. Dopięła celu swych życzeń przynajmniej na oko, została hrabiną Zamską, żoną Kazimierza, — posiadała męża, którego ukochała całą siłą duszy, — którego tak gorąco pragnęła, — którego wybrała z tysiąca innych. Świat zwał ją szczęśliwą małżonką, — zazdrościł jej nawet przystojnego, młodego hrabiego, który w całym Paryżu uchodził za zajmującego, uprzejmego arystokratę. Tysiące innych dam pomieniałoby się z Lolą natychmiast, — uważałoby za szczęście żyć przy boku tak miłego człowieka. Na zewnątrz wydawało się całe ich pożycie małżeńskie szczęśliwem, — świetny los godny pozazdroszczenia. W rzeczywistości jednak los ten był podobnym do robaczliwego owocu, w którym osiadł już dawno pasożyt. Powierzchnia śliczna, czerwona, zwodząca, a w środku spustoszenie do tego stopnia, że nie pozostaje nic innego, jak ze wstrętem odrzucić od siebie precz zepsuty owoc.

Może jeszcze nigdy nie przeżyła, młoda, piękna, urocza kobieta takich trzech miesięcy, jak Lola od czasu swego miłością wezbranego serca!

Małżeństwo bez miłości to czyściec już tu na ziemi, — Lola zrozumiała to, — doświadczyła tego w całej pełni. Nie przypuszczała, co za straszne płomienie palą duszę ludzką, — nie wiedziała co to za straszny los kochać kogoś całą głębią uczuć i być przez niego ze wzgardą odepchniętą, — pożądać go gorąco, każdym nerwem, każdą cząstką — a nie móc go ani razu — ani jednego razu przytulić do siebie, — przycisnąć do piersi, — do swego miłością wezbranego serca!

Lola była wprawdzie jedną z owych złych zepsutych natur, które się dają użyć jako narzędzie w celach ohydnych, w celach oszukańczych. I ona usłuchała matki, — przeprowadziła zgrabnie, — po mistrzowsku całą sztucznie ułożoną intrygę, ba, — co więcej, — tę samą matkę, która jej dopomagała do jej świetnego losu, — która ją wprowadziła na tę wyżynę, na jakiej stanęła, odtrąciła zimno od siebie.

Ale jej miłość do Kazimierza była prawdziwą, głęboką, — miłość ta przepełniła jej piersi, oplątała jej serce jakby linami z dziewiczych lasów, które spajają pojedyńcze konary i gałęzie mocniej i trwalej jak wszelkie ludzką ręką sporządzone postronki.

Lola kochała Kazimierza wszystkimi zmysłami, każdą myślą, każdym tętnem serca, — kochała widząc go, kochała nieobecnego, — kochała siedzącego zimno i obco tuż przy jej boku podczas wspólnych obiadów i kolacyj, — ba nawet w towarzystwie kiedy była otoczoną rojem wielbicieli, najróżnorodniejszych charakterów i postaci, — wszyscy ci obcy, — wszyscy zdawali się jej wobec tego wielkiego, wzniosłego, kochanego małymi i nędznymi, — jego jednego wybrała przecież z tysiąca innych, nazwała swoim drogim, ukochanym; — jego kochała w dzień, — kochała w nocy, kiedy bezsennie rzucała się na swojem łożu. Ach, te noce, — te straszne noce, które były w stanie przyprowadzić ją do szaleństwa, — jak drżała ta młoda, piękna kobieta przed temi pełnemi ciszy i samotności nocami!

Podczas dnia mogła jako tako przenieść swoje nieszczęście, — trafiały się tysiące najrozmaitszych rzeczy, które ją bodaj na chwilę odsuwały od tej ważnej myśli, — ale w nocy, kiedy się rzuciła zmęczona na swoje łoże, — kiedy słabe blaski małej, czerwonej lampki nocnej osłoniętej różową umbrelką poczęły tworzyć fantastyczne obrazy na jedwabnych niebieskich tapetach sypialni, kiedy spoglądała w naprzeciw stojące ogromne lustro, które wiernie oddawało całą jej powabną, cudną, uroczą postać, stworzoną tylko dla szczęścia, dla miłości, — jej wdzięki, które każdego innego mężczyznę uszczęśliwić by były w stanie, — podnieść do siódmego nieba, — i kiedy pomyślała, że właśnie ten jeden, któremu z całą rozkoszą oddałaby tę piękność, te wdzięki, ten cały raj, — że ten jeden pogardził tem wszystkiem, — odrzucił precz od siebie, — o, wtedy, — wtedy —

Wtedy zdawało jej się, że szaleństwo za tapia swe ostre pazury w jej mózg, — wówczas wyskakiwała ze swego łóżka, błądząc bezcelowo po sypialni, — narzucała na siebie pospiesznie lekkie odzienie, drżącemi rękami i przekradała się na palcach przez pokój, oddzielający jej sypialnię od sypialni Kazimierza, — przysuwała się zwolna pod drzwi, prowadzące do pokoju męża. Pod temi drzwiami kuliła się całemi godzinami, kierując zdrętwiały wzrok na zamek podwoi, — ręką zaciskała falujące piersi, jakby chciała przygłuszyć bicie swego serca, by jej nie zdradziło, by nie wyjawiło, że tuż pod drzwiami klęczy młoda, piękna kobieta, błagająca o okruszynę, o szczyptę miłości, jakby o jałmużnę.

Napróżno czekała! Nie otworzyły się wrota do raju, — nie odezwał się po za drzwiami słodki głos, powołujący ją do szczytu szczęścia ziemskiego, — cisza panowała w sypialni ubóstwianego, — tylko od czasu do czasu dały się słyszeć kobiercem przytłumione kroki wędrującego po swoim pokoju nieszczęsnego Kazimierza.

„Dlaczego on nie śpi"? pytała się Lola sama siebie. „Dlaczego czuwa, — nad czem rozmyśla w tych bezsennych nocach?"

Ale czyż potrzebowała zadawać sobie to pytanie? — Czyż nie znała już dotychczas jego najskrytszych myśli, — przecież nie zapomniała o tem, że wszystkie jego marzenia, uczucia, pragnienia kierują się do owej dziewczyny, która nie zaliczała się więcej do żyjących, ale która pomimo tego nie przestała być jej

współzawodniczką, — i to współzawodniczką niezwyciężoną!

Ha, — Loli zdawało się, że musi się potykać z tym duchem, — z tą marą bez krwi i bez kości, — że musi z nią walczyć. Lecz napróżno te wszystkie borykania się i zapasy, — nie mogła jej przecież porwać, rzucić na ziemię, zdeptać, zniweczyć, — po jej stronie nie było nigdy zwycięstwa!

Kiedy po takiej bezsennej, katuszą ducha brzemiennej nocy wciskała się do swojej sypialni i mimowoli zaglądnęła do lustra, przerażała się sama przed sobą, — przerażała ją głęboko blada, prawie w zielone wpadająca barwa jej twarzy, — drżała sama przed dzikim ogniem, wybłyskującym od czasu do czasu z jej zapadłych, podbitych oczu i przed strasznym wyrazem, jaki się w jej twarzy malował.

Z płaczem rzucała się na swoje łoże, — łzami zlewała poduszki, okrągłemi, pełnemi, kształtnemi ramionami porywała puch przyciskając go z całej siły do piersi, — to Kazimierza cisnęła tak do siebie, jego, — tak gorąco upragnionego kochanka, — to znowu z wściekłością szarpała białemi, drobnemi zębami drogie koronki u poszewek, rozdzierając je bez miłosierdzia. Z trudem powstrzymywała bolesne jęki, pławiąc się we łzach.

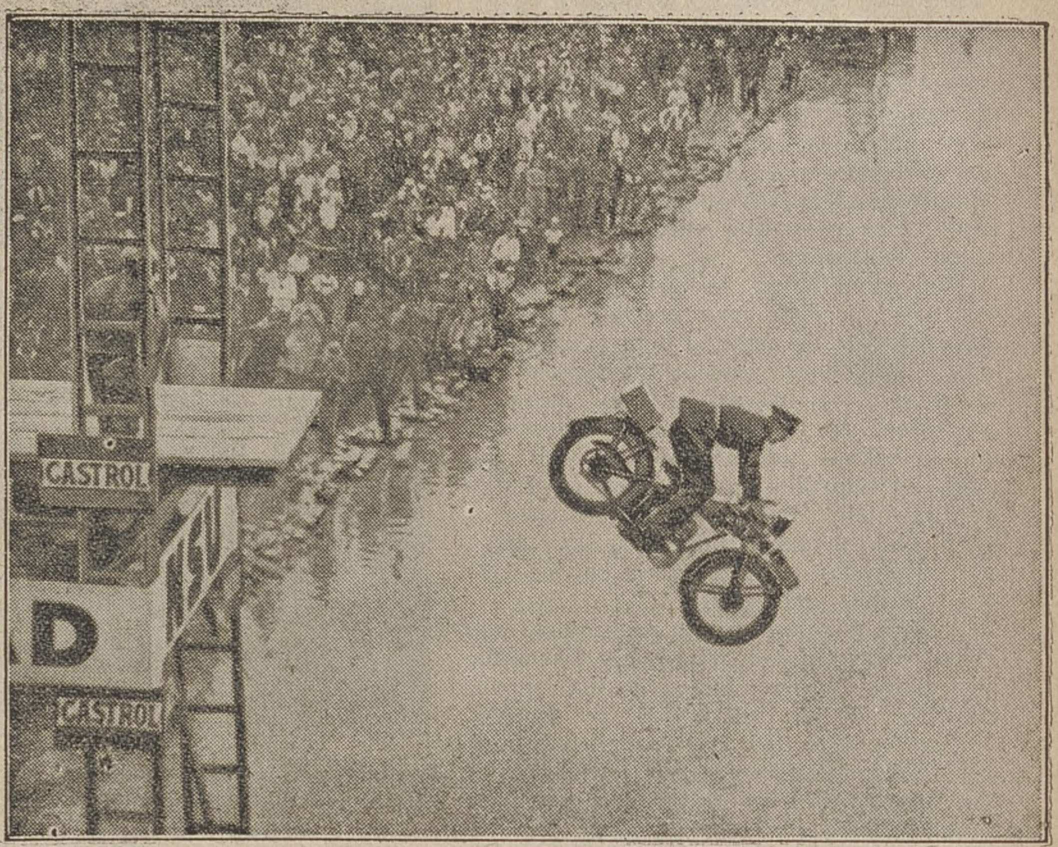
Kiedy wreszcie nad ranem zasypiała, dzikie sny nie przestawały jej trapić. Nawet tego nie chciał jej los użyczyć, aby bodaj we śnie znalazła się w objęciach Kazimierza. Przemocą chciała taki sen sprowadzić, — myślała o ukochanym, kiedy przymykała oczy, kiedy bezsilnie opuszczała głowę na poduszki, ale kiedy fantazja ustępowała miejsca widziadłom sennym, spostrzegała jakieś potworne larwy, ohydne postacie, — ani razu ani sen ani jawa nie złączyły jej z ubóstwianym ideałem.

Lola spała zwyczajnie aż do południa. Kiedy się podniosła z łóżka, wzięła ciepłą kąpiel i kazała się ubierać pannie służącej dowiadywała się zazwyczaj, że jej mąż wyszedł już z domu. Kazimierz spacerował wiele po okolicach Paryża i wracał dopiero późnem popołudniem do domu. Widywali się więc po największej części, tylko przy kolacji i to prawie nigdy nie byli sami.

Kazimierz umiał zawsze tak urządzić, że goście byli proszeni do stołu, — widocznie bał się sam na sam ze swą ślicz ną, młodą żoneczką, — gdzie tylko mógł, unikał jej niby straszydła.

Napróżno siliła się młoda mężatka, aby zdobyć jego serce, stroiła się tysiącem sztuk, jakie młoda kobieta to w wyborze toalety to w setnych innych sposobach ma zawsze pod ręką, — roztaczała cały czar swej urody i stroju, — była słodką, uprzejmą, pokorną i poddaną, każde życzenie jego odgadywała mu z oczu, — wyczytywała z twarzy, — wszystko nadaremnie.

Kazimierz pozostał względem niej grzecznym, ale zarazem zimnym jak lód, — trzymał się ciągle zdala unikał każdego zetknięcia. Kiedy jej podawał rękę, zimną jak u trupa, nie dłużej jak przez sekundę pozostawiał ją w ciepłej dłoni, — prędko odrywał ją, jakby dotknął się jadowitego węża.



Podczas święta sportowego policji wiedeńskiej uczestnicy igrzysk sportowych popisywali się m. in. także skokami do Dunaju ze specjalnej wieży — w pełnem uzbrojeniu. — Na rycinie widzimy efektowny skok w fale Dunaju motocyklisty policyjnego.

Towarzyszył swojej młodej małżonce na koncerta, do teatru, na bale, — ale robił to wszystko zupełnie, jakby automat bez życia, bez czucia; — nawet gdy przemawiał do niej lub innych brzmiało tak jakoś dziwnie, tak powierzchownie, jakby myślą zajmował się czemś innem, jakby nie był obecny duchem, tylko ciałem.

Obojętnie przypatrywał się jak jeden tancerz wyrywał ją z objęć drugiego, — ze spokojem, który poprostu obrażał głęboko Lolę, spoglądał na całe roje jej adoratorów, którzy otaczali ją dookoła wyprzedzając się wzajemnie w pochlebstwach i komplementach, aby choć jedno spojrzenie, jeden uśmiech zdobyć z tych uroczych oczu i usteczek. Nie zdradził się najmniejszą zazdrością.

Ha, gdyby była w stanie to osiągnąć, — gdyby choć raz, — jedyny raz w oczach jego zabłysnął ów płomień, który zdradza demoniczną potęgę zazdrości budzącą się w głębi kochającego serca, — ha, wówczas, — wówczas czułaby się szczęśliwą, bo zazdrość zdradza zawsze miłość.

Lola starała się wszelkiemi siłami wzbudzić to, co w sercu Kazimierza nie miało miejsca, — pozwalała się adorować, — kilku mężczyzn odznaczała szczególniejszymi względami, — najsławniejszych kawalerów Paryża zapraszała do siebie, — najwytworniejsi tancerze, lwy salonów leżeli u jej nóg, — przystojni młodzi artyści bywali często w jej domu. Kazimierz widział jak wchodzili, — widział jak wychodzili, — ze spokojem oglądał drogie bukiety z najcudniejszych kwiatów, jakie od innych dostawała, — ani jedna mina nie skrzywiła jego oblicza, — nie chwalił, ale i nie ganił, — pozostawiał jej zupełną swobodę, całkowitą wolność działania.

Właśnie ten spokój jego wprawiał ją w szał, rozżarzał djabelską siłę jej namiętności.

Uczułaby się najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, gdyby Kazimierz ją ofuknął, zawołał na nią z gniewem: Tyś moją niewolnicą, — musisz mi służyć, — klęknij przedemną, — pozwól że położę moją nogę na twój kark!

Takie słowa napełniłyby ją nieznaną rozkoszą, — z ochotą uklęknęłaby przed nim i całowała tę nogę, która ją tak strasznie upokorzyła.

Ale ta obojętność, którą zachowywał wobec niej, ta była powodem jej szalonych wybuchów. Czuła, że pomału trucizna, jad szaleństwa wsącza jej się w mózg. Przeciw temu musiała się bronić.

Najlepszem lekarstwem przeciw temu byłoby jedno słowo, wyszeptane ustami Kazimierza: Ja cię kocham! — jedno uścisnienie ręki cieplejsze, — jeden pocałunek, — — tak, ach to uratowałoby ją niezawodnie przed zgubną melancholją, która opadała ją coraz częściej, nawet podczas dnia! Ale tego lekarstwa nie mogła osiągnąć, — musiała szukać za innem. Rzuciła się całą młodocianą siłą w wir uciech i zabaw, — poczęła pełnemi rękami rozrzucać pieniądze wokoło stała się rozrzutnicą!

Nie długo trwało, cały Paryż opowiadał sobie o ładnej hrabinie Zamskiej, — o Loli, córce hrabiego Sokolskiego.

Wszystkie inne damy przewyższała nietylko pięknością, ale i przepychem w kosztownych strojach, wyborem drogich kamieni i innymi najskrytszymi środkami toalety. Jej powóz, którym wyjeżdżała na Bois de Boulogne, — jej cudne konie, któremi sama powoziła, — były najpiękniejsze w całej stolicy, — wzbudzały powszechny podziw i zazdrość.

Wydawała bale w swoim domu, które olśniewały niby bajki z tysiąca i jednej nocy, — cały Paryż opowiadał sobie o nich.

Stała się królową mody, — ogłaszano ją królową balów, gdzie tylko się zjawiła. Najpiękniejsze i najbogatsze damy przyćmiewała swoim blaskiem, — panowała w całym Paryżu i niby prezydent rzeczypospolitej miała tysiące wiernych poddanych.

Widocznem było, że taki zbytek i rozrzutność prędzej czy później musiały doprowadzić do ruiny finansowej. Przecież i najgłębsza studnia wyczerpie się w końcu, — nawet książęcy majątek roztrwoni się, rozleci się w kawałki pod ciągłemi uderzeniami białych rączek lekkomyślnej pani. Taką gospodynię można by chyba tylko porównać z małą białą myszką, która wszystko zgryzie, wszystko przedziurawi, co jej tylko wpadnie pod zęby.

A ostre te ząbki umieją znakomicie podołać wszystkiemu, z równą łatwością przecinają papier jak i grubą skórę, niszcząc, co się tylko trafi po drodze.

Lola spodziewała się, że przynajmniej tem marnotrawstwem zmusi Kazimierza do oporu, wyrwie go z biernego jego stanu, — ale i w tem pomyliła się. W jednym z największych banków stolicy otworzył jej konto, starając się, aby nie było nigdy wyczerpane. Ani razu nie przystąpił do niej z wyrzutem, — ani razu nie zrobił jej uważną na to, że takie rozrzutne życie musi w końcu wyczerpać miljony, które jej ojciec tak bezinteresownie oddał młodej parze. Zdawało się, że Kazimierz nie uznaje się wcale za współposiadacza owych miljonów, — jakby mu to całkiem obojętnem było czy jest dzisiaj bogaczem, czy jutro żebrakiem.

Wszystkie rachunki, które masami napływały z największych sklepów z modami, od krawczyń, od najpierwszych złotników, — z najwytworniejszych składów kwiatów bywały punktualnie wypłacane, — Lola nie dowiadywała się nawet, — nie troszczyła się o to. — —

Właśnie stała piękna rozrzutnica, ubrana według najpierwszej mody przed wysokiem zwierciadłem swego buduaru. Lustro odbijało jej śliczną postać obciśniętą angielskim kostjumem jasno popielatego koloru.

„Jestem piękną“, szeptała Lola, rzucając melancholijne spojrzenie w lustro. — to kryształowe szkło nie okłamuje mnie. Ale na cóż mi się przyda cała moja piękność i cały ten przepych, kiedy serce mego gorąco ukochanego pokryte lodem, — ach, raczej wolałabym być ubogą, brzydką, obsypaną piegami i krostami, — byle tylko on mnie kochał!“

Odstąpiła od lustra i pocisnęła guzik elektrycznego dzwonka.

Pokojówka Loli zjawiła się natychmiast. Była to wysoka wzrostem, młoda, ładna dziewczyna z pysznymi zwojami złotych włosów, które z trudem tylko dźwigała jej kształtna główka.

„Daj mi kapelusz i woalkę, Celestyno!“ rozkazała Lola. „Czy powóz już gotowy?“

„Do usług Jaśnie Wielmożnej pani hrabiny, — ale właśnie zajechał inny powóz, — pan hrabia Sokolski przyjechał.“

„Ach, mój ojciec!“ zawołała Lola, zadrżawszy lekko, bo w ostatnich czasach umyślnie unikała spotkania z nim, — nie mogła znosić tego badawczego spojrzenia, jakie zatapiał w jej oczach hrabia Zygmunt.

Był to wzrok sondujący, — troskliwy ojciec chciał wyczytać tajemnicę swojej córki, domyślając się, przeczuwając, że tam tkwi coś niedobrego, — coś przeciwnego szczęściu młodej mężatki.

„Gdzie moja córka?“ odezwał się w tej chwili głos z za drzwi. „A, — tutaj w buduarze? — Lolu, to ja, — twój ojciec, — zdaje mi się, że mam prawo wstąpić tu do ciebie!“

„Ojcze, kochany ojcze!“ zawołała Lola, pospieszając na przywitanie Zygmunta Sokolskiego.

Rzuciła mu się w otwarte ramiona, przyciskając go do piersi.

Dziwna zmiana zaszła w sercu Loli od czasu, kiedy się uczuła tak bezgranicznie nieszczęśliwą przy boku Kazimierza. Przedtem spoglądała na Zygmunta jak na obcego mężczyznę, którego oszukała i którego zamierzała oszukiwać, aby dojść kiedyś do jego miljonów, — do całego majątku. Obecnie jednak wzruszała ją miłość jego i to przywiązanie jakiem ją otaczał, — doznała przecież sama na sobie, jak trudno jest wzbudzić sympatję, — miłość, jak ciężko zdobyć ją u drugiego.

Celestyna, panna pokojowa, — siostra zmarłej Nanetty, — usunęła się pocichu i z pospiechem. Ale zaledwie znalazła się w przedpokoju, wyjęła mały notesik i na kartce tegoż skreśliła starannie:

„Dzisiaj 19 sierpnia o 6 godzinie po południu odwiedził hrabia Sokolski swoją córkę.“

Taką notatkę musiała co tydzień oddawać markizowi Satanelli, który z dokładnych raportów wiedział wybornie o wszystkiem, co się działo w domu Kazimierza Zamskiego.

Zygmunt nie puszczał ręki Loli. Z widocznym smutkiem spoglądał młodej, kobietce w oczy.

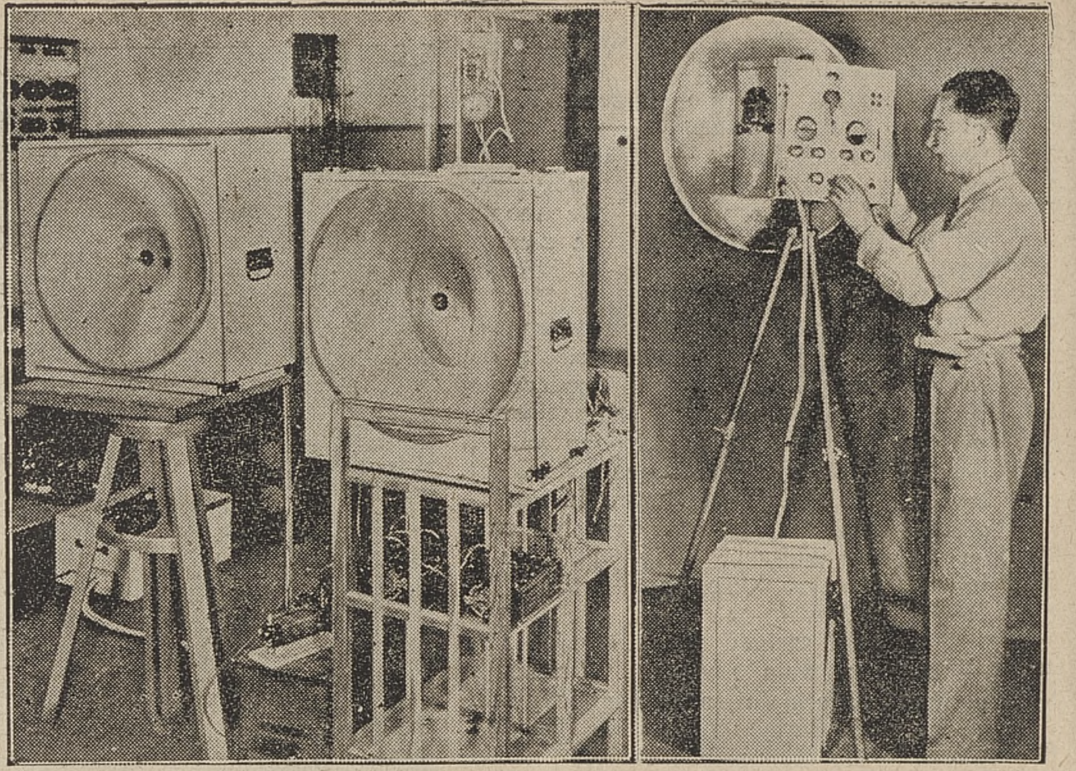
„Moja Lolu, dzisiaj przybyłem do ciebie, — specjalnie tylko do ciebie,“ zawołał, ciągnąc swoją rzekomą córkę na miękkie, jedwabnym pluszem wyłożone siedzenie i przysiadając się tuż koło niej. Muszę ci się przyznać, że może po raz pierwszy w życiu, postąpiłem według wszelkich reguł dyplomatycznych i wybrałem na moje odwiedziny godzinę, w której wiem, że twój małżonek nie jest w domu.“

„A dlaczego nie chciałeś się spotkać z Kazimierzem, kochany tato?“ spytała Lola, obrzucając hrabiego wzrokiem pełnym wątpliwości i bojaźni.

„Bo chciałem się rozmówić z tobą samą“, odpowiedział Zygmunt, odkładając laskę i kapelusz na mały taborecik, stojący tuż koło sofy. „Tak z tobą tylko pragnąłem pomówić, — przecież raz musi się skończyć ta tajemniczość, — musi się wyjaśnić wszystko. Moja Lolu, — ty ukrywasz coś przede mną, — nosisz w sercu jakąś tajemnicę i nie pozwalasz mi wglądnąć do wnętrza, — a przecież powinnabyś mi zaufać. Przecież jestem twoim ojcem? — Któż ma ci pomóc, jeżeli ja tego nie uczynię, — kto ma cię bronić, moje dziecko, jeżeli nie ja w pierwszej linji?“

Lola przymknęła oczy, szkarłatem oblała się jej blada twarz, — wstydziła się; — tak wstydziła się tego, że została odepchniętą, że jest małżonką Kazimierza tylko z imienia, — wstydziła się przyznać ojcu.

„Długom się nad tem zastanawiał“, ciągnął Zygmunt dalej, „zanim posta-



W ostatnich latach udało się wynaleźć aparaty, pozwalające kierować okrętem zapomocą fal elektromagnetycznych, t. zw. fal decymetrowych (o długości od 10 cm do 1 metra). Na zdjęciu: na prawo — aparat wysyłający fale i kierujący statkiem, na lewo — kompleks aparatów odbiorczych na statku.



Na dancingu nietylko miło jest tańczyć, ale także prowadzić interesującą rozmowę, jak to widzimy na zdjęciu.

nowiłem się ciebie zapytać. Ale Elza Rodeń, która, jak wiesz, tak zdrowe ma poglądy na każdą rzecz, powiedziała do mnie: Panie hrabio, pan masz obowiązek dowiedzieć się, czy córka pańska jest szczęśliwą, czy nie. Pan musi rozwiązać tę zagadkę, jaką codziennie mamy sposobność widzieć w tych smutnych oczach, przybladłem, zmęczonem obliczu biednej Loli."

„Poczciwa Elżutka!" zawołała Lola, „ach, ona rzeczywiście jest moją szczerą przyjaciółką!"

„Tak jest, jest ci przyjaciółką, moje dziecko!" potwierdził hrabia Zygmunt, „mogłaby ci być nawet już czemś więcej, gdyby pomiędzy mną a nią nie stała ta biedna, nieszczęsna obłąkana, która cię na świat wydała!"

Zygmunt nie zauważył tego dziwnego spojrzenia, jakie w tej chwili rzuciła na niego jego córeczka. Nie przeczuwał, że piękna a fałszywa Lola drżała przed tą chwilą, kiedy on się zdecyduje, — kiedy wyrzeknie stanowcze słowo, — i ożeni się z Elzą.

Lola musiała z naturalnego porządku rzeczy być przeciwną temu związkowi. Liczyła przecież na jego miljony, na niezmierne bogactwa, jakie należały do familji Sokolskich, a wiedziała dobrze, że gdyby jej ojciec złączył się rzeczywiście z Elzą węzłem małżeńskim, większa część tych kapitałów i bogactw wypadła by z jej ręki. — —

„Tak, moje dziecko", ciągnął Zygmunt dalej, „długo naradzałem się z Elzą, czy mogę rozmówić się z tobą tak od serca, — zupełnie otwarcie, — czy mam właściwie prawo mieszać się do tajnych spraw twojego małżeństwa. Wreszcie przyszliśmy do tego rezultatu, że ja jako ojciec nietylko jestem upoważnionym do tego, ale nawet mam obowiązek dociecznia tego, dlaczego, moje dziecko, w ostatnich czasach robi tak smutną minę, dlaczego twoja twarz blada, znużona, dlaczego właściwie nie widać po tobie znaków szczęścia nowozamężnej kobiety? — Spodziewam się przecież, że Kazimierz nie winien temu, że nie skąpi ci dowodów szacunku i miłości, jakie ci się jako żonie należą. W to nie byłbym nawet w stanie uwierzyć, wiem przecież, że Kazimierz jest idealnym mężczyzną, — a ty, moje drogie dziecko, jesteś tak piękną, tak lubą i uprzejmą! To niemożebnem, żeby Kazimierz nie uwielbiał ciebie!"

Lola, czerwieniąc się, pokryła oczy cudnemi rzęsami, — pierś jej falowała, — toczyła walkę sama ze sobą.

Miała wyznać wszystko Zygmuntowi, — miała mu wyjawić, że Kazimierz pogardził nią, odepchnął ją od siebie, że on inną kocha, nie ją, — inną, która dawniejsze prawa rościła do miłości jego?

„Lolu, moje dziecko", odezwał się znowu hrabia miękkim, sympatycznym tonem, — „ja cię zaklinam, wyznaj mi wszystko, całą prawdę! Co ciebie tak zasmuca? Z której strony napływają te fatalne chmury, które tak zaciemniają twój jasny firmament pożycia małżeńskiego? Ufaj mi, moje dziecię, jeżeli się zawczasu obmyśli środki bezpieczeństwa, można się jeszcze wczas uchronić przed burzą; naturalnie, jeżeli się opuści ręce, prędzej czy później zwali się grzmot, poczną bić pioruny! Powiedz mi przeto szczerze, moja droga Lolu, kochasz ty Kazimierza?"

„Ja, ojcze, — ja kocham go więcej, niżbym zdołała słowami ci to skreślić!" wybuchła nagle Lola, drżąc wewnętrznie.

Oczy jej poczęły rzucać takie błyskawice ognia, że Zygmunt nie mógł powątpiewać o prawdziwości jej słów.

„A więc ty go kochasz? A on, — zaniedbuje cię może, za mało uważny, — uprzejmy wobec ciebie?"

„O ojcze, gdybyś ty wiedział o wszystkiem", wyjęknęła Lola, „musiałbyś płakać nademną!"

Wymawiając te słowa, rozpłakała się na dobre. Cały potok łez rzucił jej się z oczu z taką gwałtownością, z takiem uniesieniem, że Zygmunt przeraził się na ten widok.

„Lolu", wyrzucił ze siebie głuchym głosem, chwytając ją za rękę, „więc ja dałem się w błąd wprowadzić, — tyś jest nieszczęśliwą, moje biedne dziecię!"

„Bezbrzeżnie nieszczęśliwą i nędzną! Ze wszystkich dam Paryża jestem najwięcej litości godną!"

„Ależ to niemożebne!" zawołał hrabia Zygmunt z uniesieniem, „co do licha takiego weszło nagle pomiędzy was, skoro tak wybornie nadawaliście się do siebie! Przecież jesteście oboje młodymi, pięknymi, bogatymi! Doprawdy, dotychczas byłem przekonanym, że umiem dosyć dobrze czytać w sercach ludzkich, ale tutaj stoję przed zagadką, daremnie łamię sobie głowę, chcąc znaleźć rozwiązanie tejże, — to musisz mi już sama, moja droga, wytłumaczyć! — Mówże, — kto jest właściwie winą tego rozprężenia, tego nieporozumienia, które, jak się zdaje, głęboko już się wryło pomiędzy was!"

„Ach, głęboko, i jak głęboko! Ale to nietylko nieporozumienie, — ojcze, — myśmy obcy sobie, my nie żyjemy ze sobą jak żona i mąż!"

Zygmunt podskoczył ze sofy, począł nerwowo kroczyć po pokoju spuściwszy głowę na piersi w głębokiem zamyśleniu. Nagle stanął napowrót przed Lolą.

„Więc on tobą pogardza, — niechce ciebie?" wyrzekł jakimś takim dziwnym, ostrym głosem, że aż Lola przelękła się. Nie była przyzwyczajoną do tego tonu, bardzo rzadko słyszała tego tak grzecznego, cierpliwego mężczyznę, odzywającego się takim zimnym głosem.

„Tak jest, ojcze, on mną pogardza!" zawołała Lola prawie głośno, zrywając się ze siedzenia. „Zaraz pierwszej nocy, kiedyśmy przyjechali do naszego nowego pałacyku, powiedział mi zimnym, bezmiłosiernym tonem, że mnie nie kocha, bo — bo, — ach, ja oszaleję jeszcze na tę myśl, mój tatko, — bo, — bo kocha inną! — To ta sama dziewczyna, która w dniu naszego ślubu zjawiła się nagle tuż koło Notredame, ta sama, którą, nie przeczuwając nic złego, przyjęłam do naszego domu, — ta modniarka, pracująca przedtem u madame Duprez! — O mój ojcze, ja nie wiem, czy ta dziewczyna jeszcze żyje, — ale jeżeli tak, — ha, — w takim razie, — wówczas musiałabym ulec rozpaczy! — Wówczas Kazimierz dla mnie stracony, — serca jego nie pozyskam w takim razie!"

„Ja również nie mam pojęcia“, odezwał się hrabia, — „czy ta dziewczyna jeszcze w Paryżu, czy nie! Ale ja muszę się o tem dowiedzieć, moje dziecko, muszę się zapewnić! Zresztą myślę, że to będzie najlepiej jak zupełnie otwarcie i szczerze rozmówię się z twoim mężem. Teraz niema Kazimierza w domu, nieprawdaż? Nic nie szkodzi, — zaczekam na niego! Ale ty nie zatrzymuj się, juześ się ubrała do wyjścia, więc idź. Jedź, moje dziecko, ja sam tutaj zostanę. Idź z Bogiem i zostaw tę całą sprawę na moich barkach! Nie, nie, te śliczne oczka mego dziecka nie śmią się więcej zalewać łzami, chyba tylko łzami radości! To czyste, białe, piękne czoło nie śmie się marszczyć zmarszczkami, — o nie, — choćbym miał wszystko zaofiarować! Ja chcę widzieć moją córusię szczęśliwą!“

Wziął przy tych słowach piękną zwodzicielkę w ramiona i wycisnął jej serdeczne całusy na czole i na policzkach. Kiedy wreszcie Lola zdołała się uwolnić z jego objęć i wychodziła z pokoju, patrzał na nią posępnym wzrokiem, szepcząc sam do siebie:

„Moje dziecię, twoje szczęście, to troska mego życia! Biada temu mężczyźnie, który cię zechce uczynić nieszczęśliwą!“

Znowu począł mierzyć pokój niespokojnymi krokami. Im więcej zastanawiał się nad tem wszystkiem, tem więcej przychodził do przekonania, że musi się całkiem otwarcie i szczerze rozmówić z Kazimierzem.

Serce kurczyło mu się boleśnie na myśl, że jego dziecko może być tak nieszczęśliwe, — jego droga Lola, która przecież jest tak piękną i powabną kobiecinką.

Nagle znalazł się Zygmunt w pokoju Kazimierza. Zaszedł tam, nie wiedząc jak, tak głęboko był zamyślonym. Ponieważ wszedł już do środka, postanowił w nim zaczekać na grzybycie zięcia.

Począł się rozglądać po w porządku poukładanych książkach, stojących na pięknie rzeźbionych hebanowych półkach. Aby sobie czas skrócić wyjął jedną z ksiąg. Był to gruby tom noszący na grzbiecie napis: Linné, nauka o roślinach.

Ale właśnie w chwili, kiedy chciał otworzyć księgę, zauważył z ogromnem zadziwieniem, że to, co w ręku trzymał, to nie książka, tylko jakaś skrzyneczka z drzewa, sporządzona bardzo łudząco we formie księgi.

„Czy to jaka tajemnica w tem się kryje?“ odezwał się Zygmunt sam do siebie, potrząsając głową. „Kryje w tem Kazimierz może jakiś przedmiot, którego nikt inny widzieć nie powinien? — Ha, w takim razie nie chcę dalej badać tej tajemnicy. Położę książkę na to miejsce, gdzie była.“

Ale w tej samej chwili, kiedy chciał położyć księgę napowrót na półkę, poczuł widocznie jakąś ukrytą sprężynę, znajdującą się we środku skrzyneczki, bo nagle wierzch odskoczył, — Zygmunt stanął przerażony, bez ruchu, — w tej dziwnej skrzyneczce stał słoik z rżniętego szkła, a w słoiku — serce ludzkie!



Młodzież, korzystająca z wakacyj każdą wolną chwilę spędza na boiskach przy grach i zabawach. Nie brońmy jej tego. Wszak w czasie tych gier dzieciaki zbierają siły i zdrowie, tak bardzo potrzebne na długie 10 miesięcy, które spędzić będą musiały w ciągu roku szkolnego.

Nie dużo brakowało a Zygmunt byłby w pierwszem przerażeniu wypuścił wszystko z rąk na ziemię!

Przyszedł jednak trochę do siebie, — pospieszył do biurka, — podniósł słoik do okna przeciw światłu i trzymał jakiś czas drżącą ręką.

„Ludzkie serce, — doprawdy, ja się nie mylę, — ludzkie serce!“ szeptał zbladłemi wargami, „na Boga, to serce biło kiedyś w piersi ludzkiej, — ach, cóż to za straszne odkrycie!“

Przerażające myśli snuły się bezładnie po głowie hrabiego.

„Nie, nie, to niepodobnem, — te myśli muszę odtrącić od siebie, — Kazimierz nie byłby zdolnym do zbrodni! Nie potrafiłby się stać mordercą bliźniego.

„W przeciwnym razie jednak, poco ukrywa to serce pomiędzy książkami, i to w tak tajemniczy sposób do tego?“

„Nieszczęsny, coś ty uczynił?“ zabrzmiał w tej chwili jakiś głos z boku.

Blady jak trup, z przerażeniem malującem się w rysach twarzy rzucił się Kazimierz ku ojcu swojej małżonki.

LXV.

Wszystko więc ułudą?

„Co uczyniłem?“ odpowiedział mu Zygmunt, który w pierwszym momencie, ujrzawszy nagle Kazimierza, tuż koło siebie, drgnął wprawdzie lekko, ale ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu. — „Właśnie odkryłem tu jakąś tajemnicę, którą będziesz tak dobrym mi wytłumaczyć!“

„Tłumaczyć się muszę?“ wyjęknął Kazimierz, uśmiechając się gorzko, odbierając słoik z rąk Zygmunta i stawiając go na biurku.

„A więc i to jeszcze, — śledztwo może zechcecie przeprowadzić? Tę okruszynę szczęścia, którą uratowałem sobie z mozołem, moją największą tajemnicę rozrywają bez pardonu i każą mi się jeszcze ekskuzować! Ha, ja rozumiem, — działałeś z polecenia swojej córki. Nigdy nie byłbym przypuścił tego, że możesz się zniżyć tak głęboko, — do roli szpiega!“

„Do roli szpiega?“ zakrzyknął Zygmunt Sokolski, prostując się na całą wysokość. „Szpiegiem śmiałeś mnie nazwać, nieszczęsny? Ha, żeby to kto inny wypowiedział to słowo, wiedziałbym, co mam czynić, — ale ty, — tobie przebaczam tę obrazę, boś ty przecież moim synem! Dlatego apeluję do twego synowskiego serca“, dodał Zygmunt dziwnie miękkim głosem, „i proszę cię o ufność we mnie. Kazimierzu, na miły Bóg, co to wszystko znaczy, co znaczy to serce, co znaczy ten zimny stosunek pomiędzy tobą a Lolą? — Miałożby to tak tajemniczo ukryte serce być w związku z twoim losem, — z losem mojej córki?“

„To serce tego dziewczęcia“, odpowiedział Kazimierz grobowym głosem, — „które kochałem, mój ojcze, — które jeszcze teraz kocham i które kochać będę do ostatniego mego tchnienia, dopóki mi serce nie zlodowacieje i nie stanie się martwe i zimne, podobnie jak to biedne serduszko bez życia!“

Długa pauza powstała po tych słowach.

Nagle wyciągnął hrabia Zygmunt obie ręce ku swemu zięciowi, mówiąc lekko wibrującym głosem:

„Kazimierzu, musimy sobie wzajemnie wybaczyć, ja pierwszy podaję ci rękę do zgody i czynię to całkiem szczerze i serdecznie! Ja sam, — muszę się przyznać do tego, że w pierwszej chwili pozwoliłem się unieść fantazji, — piekielna myśl zaświtała mi w głowie! Ty znowu byłeś w stanie uwierzyć, że Lola mnie tu posłała, abym zbadał twoją tajemnicę! O, mój przyjacielu, wiedz o tem, że hrabia Zygmunt jeszcze nigdy w życiu nie zniżył się do jakiejkolwiek usługi, która nie byłaby zgodną z jego charakterem, z jego czcią! Nie uczynił-



Ostatnio odbyły się w Hendon w Anglji wielkie popisy lotników angielskich przy tłumnym udziale miłośników lotnictwa.

bym tego za nic w świecie, nawet gdyby szczęście mojej ukochanej córki od tego zawisło!

„Ale teraz oddał to serce z twego domu! Nie możesz dłużej się weń wpatrywać, — musisz się starać zapomnieć przeszłości! — O Kazimierzu, synu, jam ci oddał Lolę za małżonkę, bom był przekonany, że wyście jakby stworzeni dla siebie! — Nie rób mnie, — nie czyń mego dziecka nieszczęśliwem! Kazimierzu, mój drogi Kazimierzu, jeżeli ta, którąś ukochał za życia, nie zalicza się więcej w poczet żyjących, — przestała istnieć, wyrwij w takim razie choćby gwałtem to wspomnienie z pamięci, bo ono ci tylko świeże katusze sprowadza!“

„Ha, żeby to tylko można tak łatwo wyrwać ten obraz z pamięci, jak chwast z grządek!“ zawołał Kazimierz, przystępując do biurka i zakrywając oblicze obu rękami, — „ha, żeby to można zapomnieć, ojcze. Daj mi, — podaj mi wody z Lety, niech się napiję i zapomnę na wszystko, — wdzięcznym ci będę za to!

„Ale ja nie mogę, — nie mogę zapomnieć ojcze mój!“ dodał z westchnieniem, biorąc znowu ładnie rżnięty słoik do ręki, „prędzej zginę, ale wydrzeć tego z pamięci nie potrafię! Przypomnij sobie tylko, Zygmuncie, mój kochany przyjacielu, — przebacz, że cię tak zowię, ale to imię „przyjaciel“ stokroć mi milsze, jak słowo „ojciec“, — przypomnij sobie, jak ci opowiadałem swojego czasu o tem lubem dziewczęciu, które spotkałem na skraju lasu koło zakładu doktora Morizano!“

„A więc to ta sama dziewczyna?“ wykrzyknął Zygmunt, — „ta sama, z którą przez dłuższy czas przebywałeś wspólnie w zakładzie obłąkanych doktora Morizano?“

„Tak, ta sama, Zygmuncie, — ta biedna, którą mi wydarto, — mnie zaś wrzucono do więzienia, abym nie był w stanie niczego zrobić dla niej. — To to samo kochane, urocze dziewczę, które w jednej godzinie serce me zaczarowało i zdobyło w całości! — Wówczas poprzysiągłem jej miłość i Bogiem się świadczę dotrzymałbym jej był tej przysięgi, gdyby nie mój umierający ojciec, — — — zresztą wiadomo ci dobrze jak się to stało, żem został małżonkiem twej córki Loli. — Teraz wyobraź sobie, przyjacielu, moje przerażenie w tej chwili, kiedy dziewczę to, — które mi zginęło bez śladu, za którem nadaremnie tak długo czyniłem poszukiwania, — zjawia mi się niby duch w tym momencie, kiedy z Lolą opuszczamy Notredame! Ja zaślubiony z twoją córką, żonaty przy pierwszym kroku mego życia małżeńskiego odnajduję to dziewczę“.

„A jesteś pewnym tego, mój synu“, przerwał mu hrabia Zygmunt, „że dziewczyna ta godna ciebie! Widzisz, ja jestem starszym od ciebie i spoglądam w to życie więcej krytycznym, niedowierzającym wzrokiem, — może to tylko jakaś oszukanka, która chciała cię złapać w swoje sidła! — Powiedz mi, co ją właściwie prowadziło do zakładu doktora Morizano, bo ja nie mogę jakoś uwierzyć w przypadkowe tylko spotkanie wasze!“

„O Zygmuncie, jak bardzo się mylisz, jeżeli choć sekundę pozwalasz sobie powątpiewać co do tej dziewczyny, — jeżeli nie wierzysz w czystość jej duszy! To dziewczę przybyło do zakładu obłąkanych doktora Morizano, aby spełnić święty obowiązek. To były jej własne słowa. — Przybyła aż z Paryża do tego miasta, aby uwolnić swoją matkę z tego zakładu dla obłąkanych, — matkę, która od siedemnastu długich lat tam jęczała“.

„Od siedemnastu długich lat?“ zawołał Zygmunt, siadając przy biurku naprzeciw Kazimierza. „Siedemnaście lat, — powiadasz, — była jej matka zamkniętą w tym zakładzie doktora Morizano? To rzeczywiście dziwne! Znam podobny wypadek. Ale to tylko przypadkowe podobieństwo! Ten łotr Morizano unieszczęśliwił niejedną osobę!“

„Tak, niestety musi on mieć więcej zbrodni na sumieniu!“ zawołał Kazimierz, „nigdyby się biedne to dziewczę nie dowiedziało o losie swej nieszczęsnej matki, gdyby nie jeden ślepy staruszek, który się nią zajął jak własnem dzieckiem, — gdyby poczciwy Dubois nie wyjawił jej tej tajemnicy!“

Pomału podniósł się Zygmunt z krzesła. Ręka, którą się podpierał na biurku, drżała gwałtownie, z dziwnym ogniem skierował oczy na młodego, ładnego, bladego mężczyznę, który ze znakami zmęczenia i znużenia jakoteż głębokiego smutku na obliczu czynił mu te zwierzenia.

„Co ty za imię wypowiedziałeś w tej chwili?“ zawołał Zygmunt dziwnie ostrym głosem. „Kazimierzu, czy ja źle słyszałem, nie opowiadałeś mi w tej właśnie chwili, że jeden poczciwy stary mężczyzna o nazwisku Dubois posłał był to dziewczę do Polski, do miasta N...? Że on ją wtajemniczył we wszystko wyjawiając jej, że jej matka od siedemnastu lat zamknięta w zakładzie obłąkanych?“

„Tak, jest, ojcze, to prawda. Dubois skłonił Anielcię do podróży do rzeczonego zakładu“.

„Anielcię? — Anielcię?“ zakrzyknął hrabia Zygmunt Sokolski, łapiąc się ręką za czoło, — przez chwilę stał niby posąg nieruchomo, zaraz potem jednak przyskoczył do Kazimierza, — złapał go za ręce i przyciągnął drżącemi ramionami blisko siebie.

Wzrok swój wświdrował formalnie w jego oczy, jakby mu chciał zaglądnąć aż do dna duszy, — jakby chciał wyczytać i zrozumieć wszystkie myśli młodego mężczyzny, zanim je tenże wypowie.

„Anielcię!“ powtórzył Zygmunt jeszcze raz drżącemi wargami, — „co, — tak się nazywała ta dziewczyna, która była zamkniętą w zakładzie dla obłąkanych doktora Morizano?“

„Mój miłosierny Boże, co to jest, ojcze, że ciebie to imię w tak straszne wzburzenie wprawia!“ zawołał Kazimierz pełen zadziwienia, „ja ci daję słowo honoru, że dziewczę to, które spotkałem u skraju lasu, — które nazwałem swoją uroczą nimfą leśną, — którą poprowadziłem aż do zakładu doktora Morizano, — i która przez tego łotra przemocą była w zakładzie tym zatrzymaną, — że dziewczę to nazywało się Anielcią Dubois i przybyło wprost z Paryża“. C. d. n.

HUMOR

Na ulicy

Pani: — Dostaliście złotego. Czego chcecie jeszcze?

Żebrak: — Boję się, że mnie aresztuje ten policjant, który tam stoi. Czyby pani nie była tak uprzejma i nie zechciała wziąć mnie pod ramię i przejść się ze mną kawałeczek, aby policjant myślał, że jestem pani mężem?

Służąca w stolicy

Pani Ziuta zwraca się do służącej:

— Słuchaj Anno, kiedy wieczorem będziesz usługiwała gościom do stołu, nie wkładaj na siebie swoich klejnotów.

— Bardzo pani dziękuję. Właściwie to nie są prawdziwe klejnoty, ale zawsze i tego szkoda.

Posłuszny synek

— Mamusiu, zdaje mi się, że to jajko trochę czuć!

— Ile razy mówiłam ci, Jasiu, że ci nie wolno krytykować jedzenia! Masz siedzieć spokojnie i jeść to, co ci dadzą!

— Mamusiu — odzywa się po chwili Jasio — czy dzióbek też mam zjeść!

W sklepie

Klientka: — Owszem, nawet podoba mi się ten kolor, ale to lichy materjał; wolałabym coś droższego...

Sprzedawca: — Żałuję, lecz innego towaru nie mamy na składzie; pomówię z pryncypałem, może na tym podniesie cenę.

Kryzys rewji

— Pójdziemy dziś wieczorem do teatru rewjowego, a po przedstawieniu pójdziemy gdzieś rozerwać się...

Przebiegły ratunek

Ignacy Biedronka, znany kapitalista właściciel fabryki i kilku wspaniałych domów zachorował. Lekkie przeziębienie.

W związku z chorobą kapitalisty, wpada do lekarza zdenerwowany młodzieniec, wzywa go do natychmiastowego odwiedzenia chorego i w najczulszych słowach błaga o ratunek.

— Czy pan jest synem chorego? — pyta lekarz, wzruszony ogromem troski młodzieńca.

— Nie odpowiada tamten — jestem jego spadkobiercą, siostrzeńcem.

Szkocki humor

— Co kosztują kurczęta? — pyta mister Durphy, wysłany przez małżonkę na zakupy.

— Większe szylinga, mniejsze 6 pensów.

— W takim razie kupię mniejszego kuraka. Proszę o to 6 pensów, a po kuraka przyjdę za dwa tygodnie, jak podrośnie.



— O czemże myślisz ty łobuzie, że już poraz drugi, zamiast drzewka, wsadzasz miotłę?...

Kochana perła

— Magdaleno, czy Magdalena nie wie, że w lepszych domach listy podaje się na tacy?

— Wiem proszę pani, tylko nie wiedziałam, czy pani też to wie!

Surowy szef

— Panie dyrektorze, chciałem prosić o zwolnienie na jutro.

— W jakim celu?

— Jutro obchodzę srebrne wesele.

— Hm, dobrze, ale niech pan nie sądzi, że co 25 lat będę pana zwalniał.

Świąteczna z kropelkami

Przed jednym z domów zatrzymuje się wesołe, chociaż niepewnie na nogach trzymające się grono rozbawionych panów.

Wesołe okrzyki i śpiewki zwabiają do okna mocno zdenerwowaną, starszą damę. Widząc to, któryś z wesołych panów zapytuje z uprzejmą pijacką czkawką...:

— Ep... przepraszam, cz... czy mamy przy... przyjemność z ep... panią Kuszpietowską?

— Tak, a bo co?

— Nno to niech ep... pani będzie łaskawa pofatyguje się na dół i zobaczy, ep... czy wśród nas niema sz... sza... nownego małżonka pani...

Nieporozumienie

Pani Tola zwraca się do swej przyjaciółki:

— Wiesz, Ziuto, nie rozumiem dlaczego prowadzisz tak siedzący tryb życia...

— Mylisz się!... Przecie ja bardzo często wychodzę na spacery, urządzam wycieczki...

— Nie zrozumiałaś mnie, moja droga... Mnie chodzi o to, dlaczego prowadzisz tak siedzący tryb życia i nie wychodzisz zamąż?

Na przyjęciu

Gość: — Bardzo miło jest dziś u państwa....

Gospodyni: — Byłoby jeszcze milej, tylko niestety, nasi najmilsi goście nie przyszli.

Słóweczko na „E“

Jak nazwać nieśmiałego kochanka?...

— Erotuman!

Ale wpadł

Filip zakochał się w pięknej córce doktora Kasochorskiego. Pewnego dnia udaje się doń i powiada:

— Panie doktorze, kocham pańską córkę i proszę o jej rękę...

— Co?!... — oburzył się lekarz — Pan chyba upadł na głowę!... Wybij to pan sobie z pańskiego chorego mózgu!...

Filip skonfudowany zwraca się ku drzwiom.

— Halt! — woła lekarz — A za wizytę?...

— Jaką wizytę...

— Przecie postawiłem djagnozę co do pańskiego mózgu!

Niema nic złego...

Mąż: — Wiesz, gdy cię widzę w twoim nowym kapeluszu, to mi się chce śmiać do rozpuku!

Żona: — Doskonale, ubiorę się w niego, gdy przyślą ci rachunek!

Sadysta

Sędzia: — Czy może świadek opowiedzieć nam przebieg morderstwa?

— Owszem, z przyjemnością!

C'est la vie!

— Jak się powodzi obecnie pańskiemu synowi, panie Pietrzak?

— Raz jest na górze, raz na dole.

— Ach, tak? A czem on się zajmuje?

— Jest windziarzem w hotelu!

Między pijakami

— Jadłeś już śniadanie?

— Ani kieliszka jeszcze.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.